DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok IX — Warszawa, 12 kwietnia 1953 r. — Nr 15 (385)

W NUMERZE m. in.:

TADEUSZ BRZOSTOWSKI — Paweł Włodkowic — obrońca wolności narodów

ZYGMUNT LICHNIAK — Profil uczonego

STANISŁAW SAK — Podła śmierć

STEFAN LICHAŃSKI — Merytoryzm, normatywizm i estetyzm

JAN PIŁSKI — Tunis

MIKOŁAJ BIESZCZADOWSKI — Spór o „Złodziei rowerów"

Ks. Stanisław HUET

WIKARIUSZ GENERALNY ARCHIDIECEZJI KRAKOWSKIEJ

O zadaniach katolików w Polsce

KOŚCIÓŁ Katolicki, to jak gdyby niebotyczna budowla, która się wznosi na niezniszczalnym fundamencie prawd dogmatycznych, będących przedmiotem Magisterium Ecclesiae. Do przyjęcia owych dogmatów obowiązani są wszyscy wierni. Kto chce być konsekwentnym katolikiem, musi uznać za prawdę wszystko to, co Bóg objawił a Kościół Święty do wierzenia podaje, musi tej prawdzie świadczyć całym swym życiem. Jeśli bowiem odrzuciłoby się nawet „najmniejszą" z owych prawd — cały ten gmach misterny w duszy człowieka runie, a wyznawca, który choćby w jednym punkcie zaprzeczył prawdomówności Bożej — zaprzecza nieuchronnie całej Prawdzie i traci nadprzyrodzoną cnotę wiary. Z tej to właśnie przyczyny nie uznaje Kościół, bo i uznać logicznie nie może, jakiejkolwiek tolerancji dogmatycznej, podkreślając jednocześnie konieczność i moralny obowiązek słuchania przez człowieka głosu własnego sumienia. Ten szacunek dla wolności osoby ludzkiej wyraża się chociażby w potępieniu przez Kościół zarówno postawy katolika świadomie odrzucającego podawaną mu i uzasadnioną prawdę wiary, jak i postawy przekonanego członka innej społeczności wyznaniowej, który dla celów utylitarnych ją rzuca, starając się wbrew własnemu sumieniu o przyjęcie do wspólnoty Kościoła Katolickiego. Z drugiej strony tolerancja Kościoła dla przekonań szczerych, opromienionych dobrą wolą obejmuje każdego człowieka bez względu na jego przynależność światopoglądową, co więcej: prócz szacunku, Kościół uważa takiego człowieka za przynależnego duchowo do swej społeczności (ad animam Ecclesiae). Wynika stąd, że wszelkie „nawracanie" ogniem i mieczem, wszelkie krucjaty zawsze i w każdym wieku historii Kościoła stały w sprzeczności z Chrystusowym duchem Ewangelii, a do fanatyków, nawet w najlepszej wierze działających, zastosować da się to ewangeliczne ostrzeżenie: „Nie wiecie, czyjego ducha jesteście".

Kościół Katolicki, który jako mistyczne, prawdziwe ciało Chrystusowe jest żywym organizmem, przystosowany jest z racji swej transcendentnej natury do życia w różnych warunkach historycznych i środowiskach na podobieństwo owych organizmów, które rozwój swój stosują do różnych klimatów, pór roku i szerokości geograficznych. Na tym właśnie polega tajemnica transcendentnego powołania Kościoła, że jako społeczność doskonała może on z własną władzą duchowną realizować swój cel nadprzyrodzonymi i naturalnymi środkami niezależnie od jakichkolwiek systemów ekonomicznych, społecznych czy politycznych.

Decyduje o tym nadprzyrodzony charakter celu i misji Kościoła, nie kolidujący żadną miarą z doczesnym celem społeczności państwowej, winnej reprezentować powszechne dobro obywateli. Ponieważ nadprzyrodzony cel Kościoła jest realizowany w ścisłym powiązaniu z budowaniem powszechnego dobra doczesnego obywateli — Kościół Święty jako instytucja stojąca na straży misji pełnionej w konkretnych, społecznych warunkach określających całe życie ziemskie człowieka nie tylko może, ale powinien dążyć do współpracy z Państwem. Współpraca ta nie jest konieczna za wszelką cenę. Musi ona być wynikiem wzajemnego porozumienia, w którym zasadniczo zgodne cele społeczności nadprzyrodzonej i obywatelskiej nie byłyby narażone na szwank. Dlatego jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, słuszną i sprawiedliwą, iż 14 kwietnia 1950 r. Episkopat Polski zawarł Porozumienie z Rządem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W ten sposób został postawiony pierwszy zasadniczy krok ku temu, ażeby wysiłek nad doskonaleniem życia ekonomicznego, społecznego i kulturalnego w Polsce należącej do wielkiej rodziny narodów tworzących ludzkość — mógł się dla wiernych rysować jako droga, na której realizujemy nasz cel pozadoczesny.

Już w pierwszej dekadzie nowej ery historii Polski i świata wystąpiły takie na miarę ogólnoludzką problemy, wobec których nie podobna było nie zająć zdecydowanego stanowiska już nie tylko katolikowi czy marksiście, ale po prostu — człowiekowi. Zaliczyć do nich przede wszystkim trzeba wielką ideę pokoju. I nic to nie szkodzi, że inicjatywę tej tak szlachetnej samej w sobie idei podjęli po drugiej wojnie światowej właśnie marksiści. Jak błyskawica przeleciała ona przez cały globus ziemski, jednocząc umysły i serca wielu milionów ludzi dobrej woli, ludzi pokoju. Mimo pewne początkowe opory i zastrzeżenia i katolicy w Polsce musieli pójść za tą ideą, gdyż jest ona zgodna z duchem Chrystusowym, z Ewangelią Księcia Pokoju. — Inne problemy dotyczące bezpośrednio naszego życia narodowego i państwowego również nie mogły pozostać obce dla katolików. Z tytułu samej sprawiedliwości i miłości, z tytułu nakazu pietyzmu dla swej ziemskiej ojczyzny musieliśmy się jako katolicy i Polacy ustosunkować najpozytywniej do poczynań mających na celu ogólne dobro całego społeczeństwa, a nie tylko warstw uprzywilejowanych. W ostatnim bowiem dziesiątku lat zaszły w naszym kraju fakty, nad którymi niesposób przejść do porządku dziennego i wobec których trzeba zająć określone stanowisko. Oto one:

1. W Polsce dokonuje się na naszych oczach rewolucja społeczna, wprowadzająca nie tylko istotne zmiany ustrojowe, ale również przeobrażenia w wielu historycznie ukształtowanych pojęciach, uważanych przed niedawnym czasem za niewzruszone.
2. Władzę w Polsce Ludowej objął Rząd, który od r. 1944 aż po dzień dzisiejszy daje ustawiczne dowody swej głębokiej troski o dźwignięcie naszej Ojczyzny z ruin, przebudowując Polskę z kraju gospodarczo zacofanego w kraj przemysłowo-rolniczy.
3. Wielu obywateli, rozumiejąc intencje i dążenia Władzy Ludowej, mimo częstokroć występujących różnic światopoglądowych, chce z państwem współpracować i de facto realizuje ekonomiczno - społeczne plany Rządu, jak np. wielki Plan 6-letni, upatrując w tej współpracy wspólne dobro całego Narodu.
4. Polska rzeczywistość postawiła katolików wobec faktu konieczności współpracy z marksistami, a więc współpracy ludzi żywych o odmiennych światopoglądach, którzy jednak stają się monolitem tam, gdzie chodzi o dobro wspólne narodu i ludzkości. Z konieczności więc życiowej, a nie z jakiejś sztucznie stworzonej sytuacji wyłonił się i skrystalizował Front Narodowy, którego hasło wysunął w lutym 1951 r. Prezes Rady Ministrów Bolesław Bierut.

Jeśli chodzi o koncepcję Frontu Narodowego, trzeba stale mieć na uwadze, że nie wolno go traktować jako bloku grup społecznych o sprzecznych interesach, którego ideologia miałaby być rzekomo „wypadkową sił" czy „najrozsądniejszym kompromisem". Bynajmniej. Front Narodowy pojmujemy jako wielo-światopoglądowy zespół obywateli, którzy w oparciu o pełne zrozumienie sprawiedliwości społecznej i postępu zarówno w życiu zbiorowym, jak i indywidualnym—pragną realizować lepszą przyszłość własnej Ojczyzny i zabezpieczyć ją przed nieprzyjaciółmi tak zewnętrznymi, jak i wewnętrznymi. Ze względu na troskę o skuteczne realizowanie tego celu w owej współpracy winniśmy w miarę możliwości wystrzegać się wszelkich akcentów polemicznych. Ażeby współpracę uczynić obustronnie pozytywną, katolicy winni wobec swoich towarzyszy we Froncie Narodowym reprezentować najpierw rzeczy dla nich zrozumiałe, a dopiero następnie światopoglądowo obce. Zaiste, nikt nie buduje przecież trwałego gmachu w ten sposób, aby łączyć kamienie ich stroną kanciastą zamiast ścianami gładkimi, przylegającymi ściśle do siebie. Niemało mamy takich wspólnych płaszczyzn współdziałania dla dobra naszej ziemskiej Ojczyzny. Sprawa przebudowy społeczno-gospodarczej Polski, sprawa obrony pokoju, sprawa umocnienia polskiego stanu posiadania nad Odrą i Nysą, sprawa zapewnienia pokoju wewnętrznego — o to wszystko trzeba zabiegać uczciwym Polakom zjednoczonym we Froncie Narodowym. Dopiero wówczas, gdy wkład katolików w to wielkie dzieło będzie zdecydowany i doniosły, możemy i powinniśmy wykazywać, iż takie są rezultaty naszego współdziałania, naszego współzawodnictwa dla sprawy ogólnonarodowej nie **mimo** naszego katolickiego światopoglądu ale właśnie **na skutek** takiego światopoglądu.

Nikt nas nie będzie szanował tylko dlatego, że wierzymy w Boga, że jesteśmy wyznawcami Chrystusa, dopóki konkretnymi czynami nie zaświadczymy rzetelności wyznawanych przekonań. O szacunek dla naszego Boga, dla Chrystusa, skutecznie możemy się ubiegać przede wszystkim przyczyniając się naszą pozytywną pracą do zwycięstwa miłości wśród ludzi, do zwycięstwa społecznej sprawiedliwości. Również i my nie dlatego przecież szanujemy marksistów, że w Boga nie wierzą, ale żywimy dla nich szacunek z powodu pozytywnych rezultatów osiąganych przez nich w żmudnej i ofiarnej pracy nad odbudową i przebudową kraju, w wysiłkach podnoszenia stopy życiowej tych „maluczkich", tak bardzo niesłusznie dawniej zapoznanych i w możliwościach życiowych tak krzywdząco ograniczonych.

Jako katolicy oczywiście zawsze musimy do naszych czynów przykładać miarę niezmiennej etyki chrześcijańskiej i z tego punktu widzenia oceniać wkład innych w budowę dobra wspólnego. Nie możemy się bowiem godzić nigdy na to, co jest przeciwne prawu naturalnemu albo pozytywnemu prawu Bożemu, które nam Kościół Święty swą Boską powagą interpretuje. Innymi słowy we Froncie Narodowym reprezentować musimy jednocześnie prawowierną Naukę Chrystusową i potrzeby Kościoła Rzymsko-Katolickiego w najściślejszej jedności religijnej z Episkopatem Polski.

Jesteśmy realistami. Nie zamierzamy czekać na jakieś „zmiany" zachowując szkodliwą dla interesów Kościoła i Narodu bierność wobec rzeczywistości, w której żyjemy. Patrzymy na nasze czasy okiem rozumu, ale zarazem i wiary. Panem bowiem czasów jest Bóg, wymagający od dzieci Swego Kościoła realizacji celów, jakie kościół ma w tej epoce nakreślone. Dlatego przykładając miarę Nauki Kościoła — Wiary i Moralności — do wymagań aktualnych, idziemy z odwagą do współpracy nad odbudową Ojczyzny i nad zapewnieniem jej nowej przyszłości. Zdajemy sobie doskonale sprawę z tego, że w tej przyszłości — jakkolwiek by ona była — tyle się znajdzie miejsca na światopogląd katolicki, ile go zajmie nasz pozytywny, realny wkład w odbudowę i przebudowę duchową oraz materialną Polski.

Znane są powszechnie zasady obustronnego Porozumienia regulującego w sposób najkonieczniejszy najważniejsze elementy problemu Kościół — Państwo, które to Porozumienie zawarł najdostojniejszy Episkopat Polski z Rządem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Pacta sunt servanda — oto zasada prawa naturalnego. Jesteśmy ściśle zobowiązani, każdy w swoim zakresie, przyczyniać się do realizacji Porozumienia, które tak wydatnie wzmacnia zasadę Frontu Narodowego. Nie powinniśmy zaniechać żadnej okazji wzbogacenia ogólnonarodowego wysiłku naszym specyficznym wkładem wynikającym ze szczególnych możliwości, którymi jako katolicy dysponujemy. Tak więc na przykład my przede wszystkim możemy i musimy energicznie przeciwstawiać się gorszącym, podejmowanym na Zachodzie próbom wykorzystywania i nadużywania uczuć religijnych dla skierowanych przeciw pokojowi celów.

Nie wolno nam dopuścić, ażeby fakt braku ustanowienia polskich diecezji na naszych Ziemiach Zachodnich wspomagał nie mające nic wspólnego z katolicką Wiarą i Moralnością rewizjonistyczne dążenia nieprzyjaciół pokoju i naszej Ojczyzny. W najgłębszej trosce o uniwersalną misję Kościoła, którego dziećmi jesteśmy, w trosce o Jego jedność musimy nieustannie piętnować wystąpienia tych katolików w Niemczech zachodnich i w Stanach Zjednoczonych, którzy często nie bacząc na wysoką godność zajmowanych stanowisk kościelnych angażują swój autorytet dla spraw godzących w powagę Kościoła i transcendentność Jego powołania.

Również z Porozumienia wynikają specjalne obowiązki dla duchownych katolickich w Polsce w zakresie ich zadań tak duszpasterskich, jak i obywatelskich. Nie można w tym miejscu pominąć wniosków, które narzucają się sumieniu kapłańskiemu, które narzucają się sumieniu katolików świeckich, wniosków, jakie trzeba wprowadzać w życie po tragicznych doświadczeniach procesu krakowskiego. Trzeba uczynić wszystko, aby wyzyskać pełne swe możliwości, aby stwierdzać na każdym kroku, że wrogie Polsce czynniki liczyć na współdziałanie katolików polskich nie mogą. Przyznać niestety musimy, że okres od zawarcia Porozumienia nie był wypełniony konsekwentnym wysiłkiem dla realizacji tej zasady. Godzina jest późna, jednak świadomość tego nie może doprowadzić do bezradnego opuszczenia rąk; przeciwnie — tym mocniej, tym częściej i bardziej jasno należy nasze stanowisko precyzować. Przy całkowitym odcięciu się od zgubnej i dla Kościoła, i dla Narodu współpracy z podziemiem musimy wypracować najsłuszniejsze metody współczesnego apostolatu.

Wychodząc z założenia, że naczelnym zadaniem kapłana jest jego praca duszpasterska — trzeba w imię jej wszechogarniającej misji nie zapominać, że przynieść ona może pożądane owoce jedynie wówczas, gdy nie będzie dziedziny w życiu naszego narodu zapoznanej przez katolickiego księdza. I tak na przykład katolicy świeccy niejednokrotnie wskazywali nam, jak kolosalnym wydarzeniem w życiu tradycyjnym parafii jest proces przeorganizowania się gospodarki indywidualnej na spółdzielczą. *„Czyż jest możliwe — pytali oni — aby program nieprzeciwstawiania się postępowym formom gospodarki rolnej wystarczył na dłuższą metę wiejskiemu wikariuszowi czy proboszczowi, który żyje, a w każdym razie powinien żyć w najbliższym kontakcie ze sprawami dnia codziennego wsi czy gminy?"* — To naglące wezwanie naszych świeckich współbraci domaga się od duchownych czynnej odpo-

(Ciąg dalszy na str. 2.)

Wojciech KĘTRZYŃSKI

PRACOWAŁ W PERSPEKTYWIE POKOJU

YVES Farge, przyjmując najwyższe i najbardziej zaszczytne dla działacza pokojowego wyróżnienie — Stalinowską Nagrodę Pokoju — w przemówieniu swym zawarł, nieświadomie, testament swego życia:

„Sprawa pokoju jednoczy wszystkie narody. Pokój jest dobrem dla wszystkich; pokoju wszyscy powinniśmy strzec. Wymaga on nieustannej uwagi i działalności. Wymaga rozsądku i energii ludzi, którzy różnie mogą pojmować życie w społeczeństwie, lecz wszyscy razem jednakowo zdają sobie sprawę z odpowiedzialności wobec cywilizacji, wobec swego narodu, wobec swych dzieci".

„W dobie obecnej — zakończył Yves Farge — nie ma bardziej donosłego, bardziej szlachetnego zadania niż obrona pokoju".

Nie minął tydzień a ten entuzjastyczny, namiętny obrońca sprawy pokoju, rzecznik interesów milionów ludzi, pragnących żyć i pracować w pokoju — nie żył. Zwykły, banalny wypadek samochodowy przeciął niespodziewanie linię jego życia. Było ono bujne, burzliwe, pełne niespodzianek i niebezpiecznych sytuacji. Zginął tragicznie.

Kim był Yves Farge? Najprościej powiedzieć — był prawdziwym Francuzem. Odziedziczył wszystkie najbardziej typowe cechy zewnętrzne i wewnętrzne tego narodu. Znana francuska postępowa dziennikarka, Dominique Desanti, pisząc kiedyś o nim, stwierdziła, że spotkawszy Yves Farge'a poza granicami kraju nieuchronnie zaczyna się tęsknić za Francją.

Żywy, gestykulujący, o wybuchowym, południowym temperamencie, z beretem na niesfornej, szpakowatej czuprynie, z fajką w zębach. Tak jak każdy prawdziwy Francuz — bezpośredni, szczery, ujmujący, a przy tym trochę szorstki i nieodgadniony. Lecz kiedy promienny uśmiech rozjaśniał jego mądre i przenikliwe spojrzenie — wtedy już nie było wątpliwości: przyjaciel, prawdziwy przyjaciel.

Takiego właśnie widywaliśmy na każdym odcinku walki o pokój. Z tą samą energią, z tym samym skupieniem i przejęciem uczestniczył we Wrocławskim Kongresie Intelektualistów w Obronie Pokoju, w Kongresie paryskim, warszawskim, wiedeńskim, w rozlicznych sesjach i naradach, po różnych kontynentach biorąc udział w wiecach i zebraniach. Yves Farge był człowiekiem, który swym życiem dowiódł pełnego poczucia odpowiedzialności za sprawę całej ludzkości.

Farge wyrósł i kształtował swą osobowość w specyficznej atmosferze postępowej burżuazji francuskiej. Mając lat osiemnaście wstępuje w szeregi francuskiej młodzieży socjalistycznej. Jednocześnie rozpoczyna karierę dziennikarską, której pozostanie wierny do końca życia. Wzorem jego młodości będzie Jaurès, nauczycielem Barbusse, towarzyszami — Gabriel Peri i wnuk Karola Marksa, Jean Longuet. Jest czynnym, bojowym członkiem partii socjalistycznej. Z socjaldemokracją jednak rozstanie się w tragicznych dniach Monachium. Przenikliwe sumienie pojęło od razu rozmiary knującej się zdrady i przygotowującej się zbrodni. Mimo ciążącej tradycji, mimo licznych więzów przyjaźni — zerwanie było ostateczne. W okresie powojennym spotka się Yves Farge z dawnym towarzyszem partyjnym, socjalistycznym premierem Gouin... przed trybunałem sędziowskim, oskarżając rząd o przekupstwa, o spekulowanie żywnością kosztem najuboższej ludności.

Sądzić można, że to właśnie owe gorzkie dni Monachium stanowiły dla Farge'a tę chwilę przełomu, gdy nie tylko dojrzał małość socjaldemokracji, oderwanej od rzeczywistych potrzeb klasy robotniczej, uwięzionej w karbach burżuazyjnej mentalności, ale również dojrzał wielkość prawdziwego internacjonalizmu, konieczność służenia sprawie całej ludzkości, a nie tylko partykularnym interesom narodowym.

W tym samym momencie zresztą Farge, jak nigdy przedtem, oddaje się właśnie służbie swemu własnemu narodowi. Po klęsce Francji i zdradzie Petaina Yves Farge staje na czele Narodowego Komitetu Walki, organizuje opór przeciw wywożeniu na roboty do Niemiec, tworzy ów słynny „maquis de Vercors" — region partyzancki na południu Francji, chwałę francuskiego ruchu oporu. Jest jednak Farge rzecznikiem zjednoczenia wszystkich sił narodowych na płaszczyźnie walki o postęp i sprawiedliwość, rozumie i szanuje szczytne cele francuskich komunistów. Po wojnie bronić będzie honoru Francji bezkompromisowo potępiając brudną wojnę w Viet-Namie, ujawniając wewnętrzne skandale i korupcje reżimu, od afery sprzedajnych generałów począwszy, do sprzedajnych premierów włącznie.

W latach 1947 i 1948 pisze Farge trzystustronicową rozprawę — „Wojna Hitlera trwa". Jest to bezlitosny akt oskarżenia odradzającego się faszyzmu. Jest to mocne, bezwzględne zdemaskowanie faszystowskich celów polityki amerykańskiego imperializmu: **„Zbyt niedawne są jeszcze dzieje nazistowskiego eksperymentu**—pisze on **— by nasze ledwo zabliźnione rany nie otwierały się ponownie, gdy widzimy, jak polityka Trumana prowadzi Amerykę prostą drogą na te same pozycje, które wczoraj jeszcze były pozycjami Paktu Trzech ... Oczekiwaliśmy, że zostaną odbudowane Niemcy, dla naszego i ich własnego dobra pozbawione przemysłu wojennego i bakterii hitleryzmu. Nic z tego. Wszystko zaczyna się od nowa, tak jak gdyby Francja tylko po to powoli nabierała sił, by być ponownie wykrwawiona na śmierć!"**

Dlatego właśnie, że widmo Monachium, że pamięć zbrodni hitlerowskich, że świadomość zdrady we własnych szeregach tak mocno utkwiła w jego pamięci — Yves Farge z taką namiętnością i pasją rzuca się w wir walki o pokój. Wie, że tam znajdzie prawdziwych przyjaciół i sojuszników, wie, że tylko ci, którzy przeciw wojnie rzeczywiście walczą, są prawdziwymi przyjaciółmi Francji. **„Nauczyliście mnie kochać naród radziecki, wyrażając jasno jego wolę pokoju"** — powiedział w Moskwie przedstawicielom Radzieckiego Komitetu Pokoju.

Walcząc o pokój, ujawniając podłość szantażu atomowego, broniąc sprawy Viet-Namu, oskarżając zbrodnie amerykańskie na Korei, świadcząc o bohaterskim oporze ludu greckiego — Farge nie przestaje walczyć o przyszłość własnego, ukochanego narodu. W obliczu tylu małości, tylu zdrad i kompromitacji, jakich areną było życie polityczne Francji powojennej, Farge nie traci otuchy i wiary w przyszłość. **Młodzieży francuska — woła — będzie lepiej. Pod warunkiem jednak, że przeprowadzimy wielkie porządki!"**

Przez długie lata konsekwentnie będzie walczył o te wielkie porządki, służąc im swym niezmordowanym piórem świetnego publicysty. Łamy redagowanego przez niego tygodnika francuskiego ruchu pokoju „Action" są nią stale ożywiane. Broszury jak pociski uderzają w najpotężniejsze twierdze zepsucia. „Chleb przekupstwa" ujawnia korupcję aparatu państwowego. „Wojna Hitlera trwa", uderza w nowych monachijczyków. „Wywalczyć pokój" — demaskuje podżegaczy do wojny. „Republika w niebezpieczeństwie" — ukazuje zbrodnie społeczne ustroju kapitalistycznego.

„Za każdym razem, gdy widzę Warszawę — pisze ten wielki przyjaciel Polski — **tę stolicę, która przed zagładą liczyła blisko półtora miliona ludności, a w chwili wyzwolenia dwadzieścia tysięcy bezdomnych nędzarzy, gdy tylko odtwarzam w pamięci etapy tej wspaniałej odbudowy, gdyż dziś** (w roku 1950) **już sześćset tysięcy Polaków mieszka w tym co stanie się w ciągu siedmiu lat niebywałym wyczynem: pierwszą stolicą w świecie zbudowaną od nowa — gdy się nad tym wszystkim zastanawiam, muszę myśleć o naszym biednym kraju .**

Jesteśmy przecież nie mniej pracowici od Polaków. Ale Polacy potrafili się oswobodzić z niewoli pośredników, mętnych adwokatów, rejentów, procesów o wywłaszczenie, spekulacji na stratę, rywalizacji interesów, interwencji przekupnych polityków. Pracują w perspektywie pokoju".

O tym samym dla Francji marzył Yves Farge i tej sprawie swe życie poświęcił.

Powiedziałem, że Farge wyrósł ze środowiska francuskiej burżuazji. Los mu nie poskąpił zdolności. Świetny publicysta i redaktor, jak wiemy. Nie bez powodzenia próbował swych sił na odcinku literatury — essay o Giotto, sztuka teatralna o dużym rozgłosie, powieść, w konspiracyjnym wydawnictwie „Edition de Minuit" szkic „Toulon". Był Farge również trochę malarzem. Łącząc zdolności artystyczne z politycznymi, jakąż karierę mógł ten człowiek zrobić w Trzeciej i Czwartej Republice!

Tymczasem wybrał walkę, osobisty niedostatek, procesy, którymi próbowali go zaszczuć przeciwnicy, napady bojówek, które miały go unieszkodliwić w samym lokalu redakcji, w centrum Paryża.

Dlatego właśnie należy się temu człowiekowi nasza specjalna cześć. Był prawdziwym bojownikiem sprawy pokoju. My, Polacy, nauczyliśmy się cenić ten największy skarb, pokój. Był obrońcą honoru i godności własnego narodu. My, Polacy, znamy wartość godności i honoru narodowego. Był czynnym wyznawcą postępu i sprawiedliwości społecznej. Któż, jeśli nie Polska Ludowa, potrafi cenić te idee.

W Światowym Ruchu Pokoju zajmował Yves Farge pozycję niezwykle ważną. Był bezpartyjnym. Rozumiał wielką rolę która w obronie pokoju przypadła klasie robotniczej i Związkowi Radzieckiemu przede wszystkim. Nie mniej był rzecznikiem najszerszego frontu wszystkich ludzi dobrej woli. Do najszerszych mas potrafił przemawiać. Potrafił przekonać każdego jemu właściwymi argumentami. W momencie, gdy w niezwykle trudnych warunkach w krajach kapitalistycznych trzeba się przeciwstawiać perfidnej propagandzie wojennej — Yves Farge był niezawodnym wyrazicielem najwszechstronniej, najhumanistyczniej, ale i najrealniej rozumianej walki o pokój.

Łącząc się więc w głębokim smutku, jaki po stracie tego wybitnego człowieka ogarnął francuski ruch obrońców pokoju — wyrażamy nie tylko hołd człowiekowi, którego życie było uczciwe i piękne, ale wyrażamy nasze najgłębsze przekonanie, że sprawa pokoju, której Yves Farge poświęcił swe siły, zwycięży i zrealizuje się nie tylko dla Francji, ale i dla całej ludzkości jego szlachetne marzenie:

„Pracować w perspektywie pokoju".

O zadaniach katolików w Polsce

Dokończenie ze str. 1

„Należy ujawnić i odciąć się od próby mistyfikacji moralnej wojennego sztabu polityki amerykańskiej. Należy przeciwdziałać wiązaniu się katolicyzmu i ludzi Kościoła z obłudną próbą mobilizacji dla celów wojny w obronie burżuazji i kapitalizmu uczuć i przekonań ludzi wierzących.

Można twierdzić wbrew rzeczywistości, że zagadnienie nadużywania religii dla celów wojny agresywnej przez obóz kapitalistyczny nie istnieje.

Należy cały wysiłek twórczy, moralny i intelektualny katolicyzmu skupić i użyć dla właściwego, twórczego ustawienia misji Kościoła w państwie dążącym do socjalizmu.

Można twierdzić wbrew rzeczywistości, że Kościół nie może wykonywać swych zasadniczych zadań w ustroju socjalistycznym, nie może w zakresie naczelnych wartości ogólnoludzkich i narodowych współdziałać z państwem ludowym.

Należy wspólnym wysiłkiem całej społeczności katolickiej, wysiłkiem zarówno jej Hierarchicznych szczytów, jak i bezwzględną postawą mas duchowieństwa i świeckich katolików zapewnić ostateczne i natychmiastowe uregulowanie organizacji kościelnej za Ziemiach Zachodnich. Należy tym samym wspólnym wysiłkiem, niezależnie od piętrzących się trudności, oprzeć atmosferę pracy Kościoła w Polsce o współdziałanie mającej poczucie odpowiedzialności Hierarchii z narastającym, opartym o źródło społeczne i potrzeby ruchem postępowym wśród duchowieństwa i świeckich.

Można twierdzić wbrew rzeczywistości, że ostateczne uregulowanie sprawy diecezji zachodnich przekracza siły katolicyzmu polskiego, które liczbowo stanowią 16-ą część Kościoła Powszechnego. Można twierdzić wbrew rzeczywistości, że ruchy postępowe w katolicyzmie polskim nie wynikają z troski o dobro Narodu i Kościoła, ale są tylko przejawem małych, osobistych ambicji wykolejonych ludzi.

Istnieją dwie wyraźne drogi katolicyzmu. Oczywiście drogi w tym znaczeniu, w jakim postępowanie katolików wpływa na losy Kościoła.

Jednakże nie to jest najważniejsze, że są dwie ostro zarysowane i przeciwstawne drogi. Decydującym jest fakt, że minął czas, w którym można się było wahać z wyborem, szukać jeszcze dodatkowych elementów do decyzji. Decydującym jest fakt, że nie ma już możliwości na posuwanie się połowicznie obraną drogą, nie ma już możliwości na jednoczesne zdobywanie sympatii zwolenników obu dróg. Masa duchowieństwa, masa katolików nie może już dalej oczekiwać. Musi iść na przód. Oczekiwanie obecnie nie wzmacnia przesłanek dojrzałości wyboru, lecz powoduje pesymizm, demoralizację, słabnięcie wiary w perspektywę pracy katolików.

Dlatego jesteśmy optymistami. Katolicyzm pójdzie właściwą drogą, bo nie da się oddzielić od życia, którego uszlachetnienie jest jego podstawową misją. Dynamika żywotnych społecznych sił historycznych przesądziła już, na której drodze jest rozwój życia, a na której obumieranie i rozkład".

Sprostamy temu zadaniu niezawodnie — dobrze przepowiadając i sprawując poselstwo Chrystusa, który na kartach Ewangelii tak aktualnie przemawia do wszystkich spracowanych i nadmiernie obciążonych wezwaniem gigantycznych potrzeb społecznych—o swym brzemieniu lekkim a jarzmie słodkim, podając prócz najwyższej zasady Miłości bliźniego również fundamentalną prawdę o Sprawiedliwości.

Ks. St. Huet

Tadeusz BRZOSTOWSKI

Paweł Włodkowic — obrońca wolności narodów

NIEMIECKI historyk Zakonu Krzyżackiego, Oskar Schlicht, w swej pracy pt. „Das Ordensland Preussen", Drezno 1933, pisze na 55 str. swej książki, że na chorągwi wielkiego mistrza krzyżackiego był wizerunek cesarsko-niemieckiego orła, orzeł ten stał się herbem Prus, a z kolei herbem „wielkiego państwa pruskiego; krzyż zakonny znowu jest wzorem teraźniejszego żelaznego krzyża" (który jak wiadomo jest bojowym odznaczeniem niemieckim). Dzieje Zakonu Krzyżackiego i jego tradycje były zawsze natchnieniem militarnych i imperialistycznych dążeń zachłannego prusactwa, pragnącego rozszerzać się kosztem istnienia innych narodów. Ostatni cesarz niemiecki Wilhelm, na kilka lat przed I-ą wojną światową, nie gdzie indziej, jak w malborskim zamku krzyżackim wygłaszał swą napastliwą mowę, grożąc unicestwieniem wszystkiego, co nie niemieckie. Hitler w swych szaleńczych rojeniach ujarzmienia świata, chcąc wychować odpowiednich pogromców, za wzór obrał sobie Zakon Krzyżacki i w „ordensburgach" kształcił nowych zdobywców. A Walther Darré, hitlerowski minister wyżywienia i gospodarki rolnej, tak się wypowiedział we wstępie do książki Bauera „Geburt des Ostens", Berlin 1933: *Zakon umarł, ale jego stare idee powstają dzisiaj w pełnym sił odrodzeniu i wymagają ofiar i wierności całkowitej jako najwyższego prawa naszego bytu".*

Jakież to były owe świetne wzory? Wspomniany wyżej Schlicht, który jest wielbicielem Zakonu, pisze: *„Podbicie Prus jest jednym z najkrwawszych rozdziałów dziejów Niemiec"* (str. 26). *„Nie wzdragano się przed oślepianiem i paleniem jeńców"* (str. 29). Zakon Krzyżacki, idąc w ślady Gerona, głośnego ujarzmiciela Słowian, kiedy wybuchło w latach 1260-1274 powstanie antykrzyżackie w Prusach, nie cofał się przed najhaniebniejszymi postępkami Jeden z urzędników zakonnych zaprosił do siebie na ucztę 50-u dostojników pruskich. *„Tam zaryglował drzwi i kazał zebranych spalić. Ta zbrodnia wójta Volrada nie została nigdy przez Zakon zaprzeczona, mogła więc być prawdziwa"* (str. 31).

Krzyżacy głosili zawsze, że są misjonarzami, że celem ich jest rozszerzanie wiary Chrystusowej. Gdy jednak władcy Litwy kilkakrotnie usiłowali się ochrzcić, Zakon przeszkadzał temu wszelkimi sposobami i środkami. Z całą otwartością, graniczącą z cynizmem, mówi Schlicht: *„Zakon potrzebował tej ziemi; chrześcijański punkt widzenia musiał ustąpić przed koniecznością polityczną" (str* 45). Dlatego też inny z historyków niemieckich XIX-go stulecia pisał, że *„sprawa Zakonu jest sprawą niemczyzny"*, a hitlerowski historyk dziejów narodu niemieckiego Stieve działalność krzyżacką nazwał *„błogosławioną pracą germanizacji Prus".*

DZIŚ jesteśmy znów świadkami odradzania się za Łabą militaryzmu niemieckiego. Słyszymy o tworzeniu nowej armii, której celem jest marsz na wschód. Dowiadujemy się o przedwczesnym zwalnianiu z więzień zbrodniarzy wojennych. Powstają organizacje byłych wojskowych, ba, nawet zbierają się nie tylko wojskowi, ale członkowie dywizji esesowskich Do akcji odwetowej wciąga się też Kościół i organizacje religijne, których celem jest przecież szerzenie i praktykowanie miłości bliźniego.

Jednym z naszych zadań w obronie pokoju jest demaskowanie fałszów i zrywanie obłudnych haseł, pod przykrywką których czai się zachłanna żądza panowania i ujarzmiania narodów, pragnących być wolnymi.

Nie brakło Polaków, gdy walczono o wolność z bronią w ręku, nie brakło nas też, gdy prowadzono o prawdę walkę bezorężną. Dlatego też w chwili obecnej nie od rzeczy będzie przypomnieć sobie, jak przeszło 500 lat temu Polska wystąpiła do walki o sprawiedliwość na forum

Zgromadzenie soborowe — rysunek z XV w.

międzynarodowym, jak odkryła obłudę i obnażała fałsze imperialistyczne, przysłonięte hasłami nawracania pogan.

*

GDY książę Konrad Mazowiecki powziął myśl sprowadzenia Zakonu Krzyżackiego w celu ochrony pogranicza polskiego od strony Prusów i z zamiarem wspólnego prowadzenia akcji misyjnej, z pewnością nie przypuszczał, jakie konsekwencje będzie miało jego nieszczęśliwe posunięcie dla Polski. Zakon Krzyżacki znajdował się wówczas w bardzo przykrej sytuacji. Skończyły się wyprawy krzyżowe, położenie w Ziemi Świętej tak się przedstawiało, że nie można było nawet marzyć o pozostaniu na tym terenie. Szukali więc dla siebie Krzyżacy miejsca, gdzie by mogli się usadowić. Początkowo udało im się to na Węgrzech, w Siedmiogrodzie, gdzie usiłowali stworzyć swe własne państwo, niezależne od królów węgierskich. Andrzej II, ówczesny panujący na Węgrzech, przejrzał jednak szybko ich zamiary i przepędził Krzyżaków ze swego kraju. Toteż gdy nadarzyła się okazja udania się na pogranicze polsko-pruskie, skorzystali z niej bez wahania. Od samego początku prowadzili wobec Konrada dwulicową politykę; wobec niego udawali skromnych rycerzy zakonników, których celem jest akcja misyjna i ochrona wiernych przed poganami, z drugiej zaś strony — nie ujawniając przed Konradem — wystarali się o dokumenty papieskie i cesarskie, na mocy których ziemie przez Zakon zdobyte miały się stać ich własnością, niezależną od księcia polskiego W myśl swych zamierzeń urządzali systematyczne wyprawy na kraj Prusów, rozgłaszając te ciągi jako wyprawy krzyżowe, dzięki czemu zyskiwali pomoc całego europejskiego rycerstwa oraz poparcie dwóch średniowiecznych potęg: papieża i cesarza. Wkrótce też podbili całe Prusy. Ponieważ Zakon Krzyżacki składał się z Niemców, co zresztą było uwidocznione w ich oficjalnej nazwie — „de domo Teutonicorum" — zrozumiałą jest rzeczą, że tworząc własne państwo, które nie było niczym innym jak księstwem niemieckim, usiłowali mieć bezpośrednią łączność z cesarstwem niemieckim. Na przeszkodzie stało Pomorze. W tym więc kierunku zwrócili swe zapędy. Korzystając z kłopotów książąt pomorskich i ze słabości Polski, opanowali Pomorze, nie cofając się przed żadnymi podstępami i niecnościami, choćby dla przykładu wspomnimy sprawę zajęcia Gdańska.

Kiedy już usadowili się na dobre, przenieśli do Prus główną siedzibę wielkiego mistrza. Dopiero wówczas przejrzeli Polacy, dopiero wówczas zorientowali się, kim są ci zakonnicy. Zachłanność krzyżacka przybierała na sile. Pragnęli podbić Litwę i Żmudź, marzyli o unicestwieniu Polski. Nie kto inny, jak Zakon Krzyżacki, rzucił pierwszy myśl rozbioru Polski Tym razem miarka się przebrała. Rozpoczynają się długotrwałe walki.

Katastrofa Zakonu zbliżała się nieuchronnie, pierwszym jej zwiastunem była unia Polsko-litewska. Połączone siły polsko-litewskie były potęgą, której Krzyżacy złamać nie mogli, a która przeciwnie miała im zadać cios śmiertelny. Nadszedł rok 1410. Na polach Grunwaldu została złamana siła militarna Zakonu. Zwycięzcy jednak nie potrafili wyciągnąć zysków. Rozpoczynają się targi o linie graniczne, o odszkodowanie, w rezultacie następują nowe utarczki, przerywane rozejmami.

*

ZAKON od lat prowadził na terenie europejskim wytężoną akcję dyplomatyczną, której celem było poniżenie Polski, przedstawienie jej jako kraju barbarzyńskiego, a przede wszystkim jako kraju — mimo przyjęcia chrześcijaństwa — wierze Chrystusowej wrogiego. Mieli Krzyżacy możnego protektora w osobie cesarskiej. Ówczesny władca niemiecki, Zygmunt Luksemburczyk, obawiał się wzrostu Polski, całą swą mocą popierał Zakon, zwłaszcza, że ten mu dobrze płacił Kilkakrotnie Zygmunt pośredniczył i był rozjemcą w sporach polsko-krzyżackich, jakie zaś bywały jego orzeczenia — nie trudno się domyślić. Trafna charakterystyka Zygmunta, dokonana przez St. Tarnowskiego, warta jest przytoczenia: *„Cesarz Zygmunt, wiecznie w potrzebie, łatwy był do przekupienia, namiętny w swej chciwości niemieckiej, a w swojej cesarskiej ambicji tym więcej pożądliwy i zarozumiały, im w siły i zdolności słabszy, jako margraf Brandenburski wreszcie sąsiad Zakonu i po jego klęsce obawiający się bliskości Polski dla swojej własnej domowej marchii, wszystkimi popędami serca oddany był sprawie Zakonu, a nierzetelny i słowo łamiący, tym lepiej mu służył, im częściej i zręczniej maskę odmieniał i podstępami oszukiwał Polaków i króla".*

Kiedy więc zostało ogłoszone zwołanie powszechnego soboru do Konstancji (1414—1418), Polska zdecydowała się wysłać tam poważne poselstwo, które by obok innych spraw przedstawiło istotę walk polsko-krzyżackich i objawiło przed ówczesnym światem prawdziwe oblicze Zakonu Głównym rzecznikiem Polski w sprawie krzyżackiej był znakomity prawnik i rektor Akademii Krakowskiej, Paweł Włodkowic.

Paweł Włodkowic z Brudzenia w Ziemi Dobrzyńskiej urodził się ok. r. 1370. Studiował na uniwersytecie praskim, gdzie w r. 1393 uzyskał magisterium na wydziale *artium;* z kolei studiował prawo i teologię, następnie uzupełniał studia prawa kanonicznego w Padwie; doktorat uzyskał w Krakowie w r. 1412 Był księdzem, piastował godność kustosza i kanonika katedralnego w Krakowie.

On, który pochodził z Ziemi Dobrzyńskiej, wielekroć nękanej najazdami Zakonu, był najbardziej predestynowany na to stanowisko. Głęboka zaś wiedza i doświadczenie prawnicze dawały gwarancję, że się wywiąże dobrze ze swego zadania. Nie zawiódł się król i Polska na swym ambasadorze; potrafił Włodkowic wznieść się ponad spór polsko-krzyżacki, który mógł się wydawać drobnostką zgromadzeniu soborowemu. W swych traktatach w ten sposób omówił zagadnienia wojny i pokoju, sprawę nawracania przemocą, suwerenności narodów, że jedynie sobór był właściwym miejscem do ich rozważania.

Nie pierwszy to raz wypadło zabierać głos Włodkowicowi w sprawie krzyżackiej, sobór jednak był innym forum, inaczej też należało przygotować swoje wystąpienie. Sobory powszechne w Średniowieczu były zgromadzeniami, w których obok najwyższych dostojników kościelnych i świeckich, papieża i cesarza, obok przedstawicielstwa panujących i duchownych najwyższych stopni, brali udział najuczeńsi przedstawiciele ludzkości, reprezentowani przede wszystkim przez delegacje najznakomitszych uniwersytetów; uczonym też przypadała rola rozstrzygania wątpliwości i wydawania orzeczeń, które ostatecznie zatwierdzało zgromadzenie soborowe z papieżem i cesarzem na czele. Włodkowic zdawał sobie z tego sprawę doskonale, wszak między uczestnikami spotkał kardynała Franciszka Zabarellę, swego mistrza uniwersyteckiego, zwanego królem dekretystów. Toteż we wszystkich swych wystąpieniach podkreśla, że w swojej osobie łączy godność *„ambasadora króla polskiego"* i *„rektora Uniwersytetu Krakowskiego"*, a dla dobitniejszego zaznaczenia oświadcza w traktacie, że działa *„nie tylko jako ambasador, ale i jako uczony".*

Łatwego zadania nie miał nasz rzecznik. Na soborze znajdowali się papież i cesarz, przedstawiciele dwóch potęg, z jednej strony wzajemnie się wspierających, a z drugiej prowadzących zadawnioną walkę o prymat. Papież, jako zwierzchnik całego świata chrześcijańskiego, stał na stanowisku, że władza jego rozciąga się i nad władcami świeckimi; cesarz, czerpiący moc z tradycji starożytnej, niejednokrotnie chroniący papieży przed napastliwością i wpływający na ich obiór, uważał, że on jest pierwszą osobą w świecie, władza zaś papieża ogranicza się jedynie do spraw religijnych. Sytuację cesarza ułatwiało i to, że w owych czasach mocno była rozprzestrzeniona teoria koncyliaryzmu, tj. wyższości soboru nad papieżem; równocześnie zaś istnienie obok siebie kilku papieży, z których każdy niemal uważał się za prawowitego namiestnika Chrystusa, powiększało zamęt. Mimo tak zagmatwanego stanu rzeczy potrafił Włodkowic zająć właściwe stanowisko w sprawie, którą reprezentował.

PIERWSZE wystąpienie Pawła Włodkowica miało miejsce 5 lipca 1415 r., kiedy to przedłożył do rozpatrzenia swój „Traktat o władzy papieża i cesarza w stosunku do pogan". Już na podstawie samego tytułu możemy spostrzec, że nasz ambasador przedstawił zagadnienie na szerszej płaszczyźnie, z tego też względu poddał pod rozwagę soboru kwestie natury ogólniejszej, kwestie zresztą wówczas bardzo aktualne. Z drugiej jednak strony nie miały to być czysto teoretyczne rozważania, lecz właśnie rzecz umieszczona w tytule pracy miała być ilustrowana żywym przykładem działalności Zakonu Krzyżackiego.

Wstęp do traktatu zawiera wprowadzenie historyczne i z kolei porusza sprawy, które będą treścią dalszych rozważań. Mimo ujarzmienia Prusów Krzyżacy zwalczają ich nadal i jakby na urągowisko czynią to w dni świąteczne. *„Pod pierwszym pozorem, jakoby dotychczas wściekłość pogańska napastowała chrześcijan, przyjmują sobie za zwyczaj na jeżdżanie silnym wojskiem krajów pogańskich dwa razy na rok — w tych mianowicie dniach i okresach świąt: Wniebowzięcia i Nawiedzenia Chwalebnej Dziewicy Maryi, które to ciągi nazywają w swym języku potocznym „rajzami". Tak błąd przeszedł w zwyczaj, ponieważ wyznawcy Chrystusa, wierząc, że spełniają powinność Bożą, tłumnie się tam zbierają dla żołnierki i z racji krzewienia katolicyzmu krwawo jest napadany spokojny lud pogański".*

Po chrzcie Litwy i po unii polsko-litewskiej nie zaprzestali Krzyżacy swych napadów *„Jakby z przykrością odczuwając, że w ten sposób stracili przyczyny zajęcia ziem i państw wymienionych, z większą zaciekłością najeżdżają po wielekroć i raz po raz w zwykły sposób rzeczonych nowonawróconych i tak kapłanów, jak i innych już ochrzczonych, jak i nieochrzczonych, wielu krwawo wytracają, palą ich nowe kościoły i inne niezliczone czynią bezczeństwa, o których zacność nakazuje milczeć...* (występują przeciw Polakom), *biorą do niewoli swoich dobroczyńców, książąt chrześcijańskich, dobrodziejów własnego zgromadzenia, traktują najhaniebniej i zwołując sobie na pomoc duży zastęp chrześcijan, jakby na wyprawę przeciw niewiernym... skierowują armię przeciw katolickiemu królowi Polski".*

Ponieważ Krzyżacy zasłaniają się pismami cesarskimi i papieskimi, które zdaniem Włodkowica *„dały im sposobność i pozór wszystkich spra-*

(Dokończenie na str. 9)

PROFIL

Zygmunt LICHNIAK

(Na marginesie „Studiów i rozpraw" Wacława Borowego)

LEŻĄ przede mną dwa tomy „Studiów i rozpraw" Wacława Borowego. Wyodrębniłem je spośród innych książek, dałem im — kierowany podświadomą symboliką rzeczy — specjalne miejsce, kartkowałem delikatnie poszczególne rozprawy, smakowałem poszczególne fragmenty ulubionych szkiców, w powtórnych podróżach zbliżałem się do cypryjskiego powiatu, przypominałem sobie „Fabułę o książęciu Adolfie", zaraz na wstępie — jak ze starą znajomą — witając się z „przepyszną dewotką", która, dobrodusznie ośmieszona przez Profesora, czytała „Głos synogarlicy", odwiedzałem „Niemcewicza w Anglii", znowu przemierzałem „świat książek" Żeromskiego, podziwiałem „Boya jako tłumacza", bawiłem się — kształcąco i polonistycznie — uroczą i doskonałą „humoreską krytyczną" poświęconą fredrowskiemu „Pawłowi i Gawłowi". Chwilami — acakolwiek opornie i z pewną dozą mechanicznego przymusu — pochylałem się nad zawiłą „Anatomią wiersza" czy „Prehistorią polskiego wiersza tonicznego", czy wreszcie „Polskiego trzynastozgłoskowca". Pozwalałem kartom ożywiać piękne postaci Kazimierza Piekarskiego czy Januarego Kołodziejczyka, najczęściej jednak wracając — z sentymentem żenującym nawet w nocnej pustce pokoju — do „Patriarchy teatru warszawskiego" — Franciszka Bohomolca i — jeszcze raz, jeszcze raz — do smutnego i ciekawego „Książninka" z „cypryjskiego powiatu". No, i do tego nagrobka w Zwoleniu, gdzie Poeta — ciągle żywy i ciągle prawdziwy — zdradza się, ot, drobiazgiem, kamiennymi rękawiczkami.

W tych lekturach - wspomnieniach ręka, niezupełnie nieświadomie, często kartkowała książkę tak, że obok strony tytułowej pierwszego tomu ukazywała się fotografia Profesora.

Siedzi — pogrążony w pracy — w jednej z salek Muzeum Świętokrzyskiego w Kielcach. Kierował wtedy przygotowaniami do wystawy poświęconej Stefanowi Żeromskiemu. Przegląda jakieś pismo. Może — jak zawsze niestrudzony i nieubłagany w ostatecznym ustalaniu prawdy nawet o szczegółach — szuka jakiejś notatki, informacji, sprostowania? Jego wieczne pióro leży tuż pod ręką, gotowe narzędzie. Na ciemno-jasnym tle rysuje się profil pochylonej głowy Profesora, profil uczonego. Mała, delikatna w rysunku czaszka, szeroko sklepione czoło z cieniem bruzdy płonowej, która w chwilach rzadkiego podniecenia pulsowała błękitną żyłą, ostry — wystrzony chorobą ciągle ponawiającą swe ataki — nos, skupione w zaczytaniu usta, mały podbródek, a pod nabrzmiałymi trochę powiekami, które czuły się jakby nieswojo bez osłony okularów, spokojne a przenikliwe oczy.

Pod fotografią data: 6-8 październik 1950 roku. W kilka dni potem — pamięć bez wysiłku odlicza te dni — 16 października pióro już było narzędziem zbytecznym, powieki opadły, wzrok zgasł, w nagłym ataku fala zbuntowanej krwi zsłała czujny, do ostatniej chwili twórczy mózg.

Wczytując się w „Studia i rozprawy", powracając co pewien czas do tej fotografii i zestawiając tam te daty, wypisując je myślą koło daty dzisiejszej, dopisując obok nich wyobraźnią daty jeszcze nie spełnione, drzemiące w kalendarzach, które pojawią się za lat dziesięć czy dwadzieścia, zapytywałem siebie, jak z dzieła ludzkiego odczytany będzie człowiek, jak w pracy uczonego zrozumiana będzie dzisiaj i kiedyś jego miłość dla sprawy literatury, jego żarliwość w odkrywaniu prawdy o takich — w porównaniu z wielkimi problemami świata zdawałoby się błahych — rzeczach, jak „Fabuła o książęciu Adolfie", jak polski przekład „Don Kiszota" czy dola i niedola zagubionego w „cypryjskim powiecie" Kniaźnina — „Kniaźninka".

NIE będę pisał krytycznej rozprawki o „Studiach i rozprawach" Wacława Borowego. To, co piszę, niech nie będzie liczone jako recenzja z dwutomowego wydania pośmiertnego wyboru pism autora „Kamiennych rękawiczek" Recenzję napiszą kompetentniejsi. Im przypadnie w udziale w tym wypadku niemal syzyfowy trud ujmowania pięknej miłości uczonego do literatury w kategorie tzw metodologicznych przesłanek, wniosków, wywodów i izmów. Oby jak najmniej skrzywdzili dzieło natarczywością pośpiesznego osądu! Oby starczyło im mądrego zrozumienia dla ważności spraw niby nieważnych!

Ja chcę jeszcze raz pisać o Profesorze. Chcę uchwycić i słowem utrwalić, umocnić, podkreślić (nie lubił tego zwrotu Profesor!) to, co choćby w skromnym wyborze „Studiów i rozpraw" ukazuje samego autora, jego ukochanie rzeczy zbyt mało kochanych, jego pasję docierania do ich ostatecznej chyba prawdy, jego wielki dar zarażania innych tą miłością, jego szacunek dla dzieła ludzkiego, nakazujący mówić o tym dziele językiem jak najwnikliwszym, najsubtelniejszym, językiem pięknym w swej czystości, prostocie i elegancji.

Tak jak w przypomnieniowej lekturze „Studiów i rozpraw" wracać musiałem często ku fotografii, ku żywemu, realnemu obrazowi człowieka — podobnie i w tych uwagach, kreślonych niejako na marginesie dzieła, które „z naukowego punktu widzenia" omówią inni, muszę łączyć refleksje dyktowane lekturą ze wspomnieniami — by odnajdować jedność dzieła i człowieka, prawdę człowieka w dziele i prawdę dzieła w człowieku.

W ciągłym odnajdywaniu tej jedności tkwi głębszy, ukryty sens wzruszeń intelektualnych, które domagają się odnotowania na marginesie dwóch pośmiertnych tomów Profesora. Sens ten polega na pełniejszym zrozumieniu wartości wysiłku badawczego, który wynikając z umiłowania przedmiotu i człowieka, poparty wiedzą, inteligencją i talentem — zbogaca człowieka i przedmiot.

I jeszcze jedna przyczyna każe się głębiej pochylać nad kartami „Studiów i rozpraw" poświęconych czy to „Zagadkowości w kompozycji „Dziadów", czy „Kochanowskiemu jako maryniście". Uczą te karty rzetelności, obycia ze światem kultury literackiej, troskliwości w ustalaniu najmniejszych nawet drobiazgów. Ludzie zarażeni surową i pośpieszną namiętnością syntezy — znajdziemy na tych kartach kształcącą miłość dla drobiazgu, ukrywającego w sobie tajemnicę wielkiej złożoności sprawy kultury, sprawy pięknego pisania. Te drobiazgi nie przesłaniają badaczowi świata, lecz przeciwnie: pogłębiają widzenie i przeżywanie świata o widzenie i przeżywanie jego uroków i jego skomplikowań w dziedzinie sztuki.

Takim sensem dydaktycznym obdarzone jest dzieło Wacława Borowego. Sens ten emanuje z kart każdej rozprawy dyskretnie, niewidocznie a krzepiąco — jest jak promienie ultrafioletowe. Taki jest Profesor w swoim dziele i taki był w swoim życiu, w działaniu .

Napisano po jego śmierci prawie piętnaście artykułów: kilka z nich pięknie i głęboko mówiło o uczonym, o wydawcy, o bibliotekarzu, krytyku, historyku literatury. Mówiono za mało o wychowawcy. Dzisiaj, czytając fragmenty jego bogatej jakościowo twórczości naukowej, zebrane w dwóch tomach „Studiów i rozpraw", odczuwa się jeszcze wyraźniej niż zaraz po śmierci Profesora potrzebę uzupełnienia jego charakterystyki jako wykładowcy — wychowawcy, jako człowieka, umiejącego w bezpośrednim kontakcie ze słuchaczami przekazywać te same wartości, które wszyscy odnaleźć mogą i odnajdywać zawsze będą mogli w jego pismach. Niechaj więc słowa wspomnień spróbują powtórzyć w bolesnym streszczeniu tamte lata twórczego oddziaływania Profesora.

DZISIAJ, sumując wspomnieniami kilka powojennych lat pracy wychowawczej Profesora, patrząc na nie z perspektywy alei cmentarza powązkowskiego, widzimy pewne rzeczy dokładniej niż wtedy, gdy w codziennym niemal kontakcie stykaliśmy się z mądrością Zmarłego, przyjmując ją w siebie — na miarę własnych nieudolności — niepostrzeżenie a ciągle, jak zdrowe powietrze.

Dojrzewając do studiów uniwersyteckich w wojennej epoce słów i czynów pełnych kłamstwa i zbrodni, wchodziliśmy do sal seminariów polonistycznych zarażeni w jakiś sposób brutalnością czasu naszego dojrzewania. Jak szorstkimi rękami — szorstkim umysłem chwytaliśmy przedmiot naszych studiów bezceremonialnie i niemal gniewnie. Chcieliśmy prawie od razu, już, w tej chwili wymusić na nim prawdę, dotrzeć do ostatecznego sedna rzeczy. Skłonni byliśmy do karygodnych uproszczeń, do symplifikatorstwa równego naszemu zapałowi i naszej niewiedzy. Półcienie i półświatła były zjawiskami niemal nieuchwytnymi dla oczu nawet inteligentnego stadka barbarzyńców. Literatura, sztuka jawiły się tym oczom jako kompleksy zjawisk prostych, niezłożonych.

W tym klimacie troglodytyzmu i pyszałkowatego dążenia na przełaj do ostatecznej i łatwej wiedzy o przedmiocie zaczął na nas oddziaływać Profesor. W swoich wykładach historyczno-literackich, na seminariach, na ćwiczeniach, poświęconych wnikliwemu badaniu poszczególnych epok, sztuce przekładu czy technice edytorskiej, przeciwstawiał się samą swoją postawą naszym zapędom wulgaryzatorskim, jako obrońca trudnej prawdy o przedmiocie, złożonej o nim wiedzy, pokornego jego umiłowania. Z popędliwych dłoni wyjmował topory, przyuczał dłonie do lancetu, oswajał oko z mikroskopem, pod którym jawiła się żywa, pulsująca skomplikowanym krążeniem soków tkanka dzieła literackiego. Mimowolnie niejako okazywał siłę swej erudycji jako przykład właściwego wyposażenia zdobywcy lądów jeszcze nie odkrytych, które — Kolumbowie naiwni — mierzyć chcieliśmy stolarskim metrem.

Nie były to pokazy erudyty. Był to zabieg pedagoga.

O erudycji, o wielkiej wiedzy Profesora wiele już powiedziano. Dla słuchaczy była ona darem niezwykle hojnym i nie zawsze należycie szacowanym. Recywilizował, przywracał kulturze powojenne pokolenie młodych polonistów.

Na pierwszym planie stawiał postulat dążenia do pełnej wiedzy o przedmiocie. Ta wiedza miała być materiałem wnioskotwórczym, pomocnym w odnajdywaniu prawdy przedmiotu.

Szacunek dla tej prawdy, nigdy nie narzucanej apriorycznie, ambicja jej dogłębnego poznania, trud przezwyciężania oporu materiału, niechęć do pierwotnego kanonu symplifikatorstwa, zrozumienie specyfiki zjawisk literackich, ostrożność i czujne respektowanie ich złożoności — to cechy, które chciał wpoić w buńczucznych i zarozumiałych, pokorny wobec wielkości nauki Profesor.

Nie można go oddzielić od człowieka o tym samym nazwisku. Uczniowie pamiętają jego uśmiech, rady, rozmowy, odczytują ze wzruszeniem listy. Nie schodząc nawet z podium uniwersyteckiej katedry — był wśród nas. Nie przestając być Profesorem, był doradcą i był — jeśli słowu temu odejmiemy uzurpatorską pyszałkowatość — przyjacielem.

Patrząc na fotografię, na ostro zarysowany profil autora „Studiów i rozpraw", takim trzeba go widzieć. To chyba pomaga w głębszym rozumieniu dzieła i człowieka.

CZYTAJĄC pisma Wacława Borowego, czytając choćby „Studia i rozprawy" trzeba umieć ocenić jeden z — wiem, wiem, „niewymiernych". „nienaukowych", „niesprawdzalnych" — walorów tego naukowca, walor klimatu jego prac historyczno-literackich

Walor klimatu? Co to jest, co za słowa, co za pojęcia, jaki to ma związek z dwoma tomami, wydanymi przez Wydawnictwo Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich? Tak nie można pisać w recenzji!

Przyznaję. Tak nie można pisać. Powiedziałem jednak, że nie piszę recenzji. A boję się, że ci, którym przypadnie trud recenzowania „Studiów i rozpraw", nie napiszą o walorach klimatu prac Wacława Borowego, korzystam ze specjalnego prawa, z dyspensy naukowej i — piszę o klimacie.

Ot, kartkuję jeszcze raz „Fabułę o książęciu Adolfie". Zdawałoby się, typowo komparatystyczno-wpływologiczna (jakże nie znosił tego terminu Profesor, autor studium „O wpływach i zależnościach w literaturze"!) rozprawka na temat zależności utworu Elżbiety Drużbackiej od „Hipolita Millorda z Duglas" pióra pani d'Aulnoy. Ale Drużbacka jest tu i „byłą panną respektową", i „literatką-ochmistrzynią", i „skarbnikową żydaczewską" Kimś żywym, jakoś bliskim. Autor rozprawki traktuje ją — mimo pewnego dystansu — jakoś osobiście, żeby nie powiedzieć: familiarnie. Z taktownie dozowaną rewerencją i dyskretnym sarkazmem. Z uśmiechem podkreśli ironicznie jej „szczególną" skromność, która w opowieści Adolfa każe wykropkować nieprzyzwoite widać słowo... „podwiązki", w innym miejscu nazwie tę skromność „niepojętą", gdy nakaże ona wykropkowanie „podołka". Te drobne, subtelne, dyskretnie wtopione w spokojny wywód elementy czynią całość cieplejszą, serdeczniejszą, po prostu — nawet zewnętrznie uczłowieczają erudycyjną argumentację historyczno-literacką.

Przykładów podobnych nie trzeba szukać w specjalnym trudzie. Wystarczy przerzucić kilka kartek. Oto studium „W cypryjskim powiecie". O Kniaźninie. Pierwszy podtytuł: „Kniaźninek". Pierwsze słowo: „Kniaźninek" Pierwsze wyjaśnienie: „Sam się tak nazywał". Pierwszy cytat: „Halina prosi: Kniaźninku, Kniaźninku — powiedzże co mi o Kupidynku" (Erotyki, III 32). Pierwszy obraz: „Widzieliśmy go jako sentymentalnego dworaka i safandułę — coś w rodzaju podtatusiałego Albina w tarantce i z sumiastymi wąsami". Pierwsze określenie: „W historii literatury jak gdyby nie było osobnego pomieszczenia dla jego poezji: lokowało się ją w przechodnim pokoju za Karpińskim".

W każdej prawie rozprawie rozprowadzone jest to osobiste, serdeczne ciepło, bez cienia poczucia własnej wyższości, zawsze z umiarem, taktem, dyskrecją graniczącą z kunsztem. To stwarza specjalny klimat, specjalną aurę bliskości omawianych naukowo spraw. A bliskość ta nie wynika ze słów, słowa są tylko jej wyrazem. Bliskość ta wynika z postawy badacza, dla którego utwór — będąc z filologiczną precyzją obserwowanym tekstem — jest przede wszystkim dziełem ludzkim, sprawą człowieczą.

Historia literatury zna historyków literatury, zna krytyków, którzy w tzw. obiektywizowaniu przedmiotu badań zesztywnieli w buchalterów przychodu i rozchodu kulturalnego, oko uczynili tylko przedłużeniem mikroskopu, a nie mikroskop wzmocnieniem oka, autora sprowadzili tylko do nazwiska nad tytułem dzieła, a jego życie wykorzystali jedynie jako klamrę dwóch dat.

Nie z tych jest Wacław Borowy. On pierwszy u nas wśród tych, którzy w filologiczną, estetyczną czy historyczną analizę wpisują żywą prawdę ukochania spraw ludzkich. Klimat jego prac — to klimat humanistycznego pochylenia nad najmniejszym nawet drobiazgiem, który świadczy o człowieku. Nie bójmy się zdania pozornie patetycznego: — Wacław Borowy kochał literaturę.

ZNAŁ ją jak mało kto spośród badaczy polskich. Byłoby nietaktem, gdybym choć w najmniejszym stopniu uczuł się upoważniony do przeprowadzania jakichś analistycznych wywodów na ten temat. Erudycja Wacława Borowego, jej wielokierunkowość, wielopłaszczyznowość, głębia i żywotność (znamy bowiem uczonych, u których każdy zabieg erudycyjny przypomina ekshumację), to już powszechnie ustalona cecha umysłu tego uczonego.

Chwilami prawie przerażała swoim ogromem. Gdy czytałeś rozprawę „O wpływach i zależnościach w literaturze", gdzie autor bez najmniejszego — zdawałoby się — trudu operuje przykładami z zakresu kilkunastu literatur, gdy wędrowałeś przez utkane cytatami (chciałoby się powiedzieć: wyhaftowane cytatami) strony książki o Chestertonie, gdy delektowałeś się obrazami pisarzy XVIII wieku, gdy nowe postacie literatury odsłaniała ci „Antologia liryki polskiej", gdy w najdrobniejszej rozprawce widziałeś żelbeton uszeregowanych za nią faktów literackich — wszędzie skala wiedzy rozszerzała skalę podziwu i szacunku, wydawała się niemal niepojęta w granicach ludzkiej pracowitości.

Jakże to ostatnie słowo trzeba pogłębić, rozszerzyć, uszlachetnić, by nadawało się ono chociaż częściowo na współbrzmienie z wielką erudycją Profesora! Czasami najmniejszy przypisek, jedno zdanie nawiasowo wtrącone, jedna pozornie marginalna dygresja są sprostowaniem rzeczowym i lakonicznym pomyłki pokutującej w kilku pokoleniach naukowców, pomyłki, nad którą bieczono się bezskutecznie. Ale nie o przypiskową, nie o aneksową pracowitość i rzetelność erudyty chodzi mi tutaj, lecz przede wszystkim o erudycję i pracowitość, która święci swoje triumfy we wszelkich analizach, doskonałych zestawieniach czy konfrontacjach lub — rzadkich u Profesora — ujęciach syntetyzujących jakąś postać lub okres.

Niech się tu przykładowo przypomni przedrukowana w „Studiach i rozprawach" praca Wacława Borowego o Boyu jako tłumaczu. Sto kilkanaście stron tej pracy, oma-

U C Z O N E G O

wiającej dorobek translatorski Boya do roku 1922, stanowi niezastąpiony chyba do tej pory w Polsce przykład rzeczowej argumentacji, maksymalnego opanowania materiału, kolosalnej żarliwości w dążeniu do jak najwszechstronniejszego, jak najpełniejszego oświetlenia przedmiotu.

Nie w tym leży sedno sprawy, że pracę tę pisał specjalista, najwybitniejszy teoretyk i krytyk przekładów, nie o to chodzi, że sprzymierzył się z nim Borowy — wybitny znawca klasycznej literatury francuskiej. Najważniejsze jest to, że praca ta (a wiele, wiele jej podobnych napisał Profesor) stanowi w swoim bogactwie materiału i w swojej sprawności posługiwania się tym materiałem przykład najszlachetniejszego chyba traktowania przedmiotu.

Ale co innego zastanawia jeszcze bardziej.

Erudycja jest często synonimem nudy. Ogrom wiadomości u niejednego naukowca pogrąża sens pracy w źle skoordynowanym, lub raczej nieskoordynowanym galimatiasie wywodów. Och! Któż z nas nie zna ponurego petitu tasiemcowych przypisów, kto z nas nie gubił się wśród kłębowiska odsyłaczy, komu są nieznane zwyczaje tak brzydkie, jak op. cit., por. czy „Chr Mr. Pr. V. 16 i Spr. Tr. Kr. X. 801" — jak to wyśmiewa Julian Tuwim w felietonie „Słowiczek". Pamiętamy mękę szukania na oceanach rozlewnej erudycyjności.

A oto wywód Wacława Borowego, erudyty o wielkim wyposażeniu naukowym, czyta się niemal jak nowelę, chwilami jak gawędę, czasem jak doskonały artykuł czy nawet felieton publicystyczny.

Co wyjaśnia tę tajemnicę?

WACŁAW BOROWY to naukowiec-artysta.

Był w swoich pismach artystą nie tylko w tym znaczeniu, w jakim jest nim każdy krytyk subtelny, wnikliwy, przeżywający twórczo, odkrywczo dzieło sztuki, ale był nim także w znaczeniu bardziej bezpośrednim: swój trudny i piękny zawód badacza doprowadził do kunsztu. Jego wywody naukowe, zapis intelektualnego procesu wnikania w przedmiot i oświetlania przedmiotu stał się u niego przeżyciem również estetycznym. W twórczym trudzie szukania najpełniejszego wyrazu dla osiągnięć badawczych Profesor stworzył własny kodeks artystyczny, wykształcił własny, odrębny zespół zasad kompozycyjnych, wyszlifował i indywidualnie zabarwił język swoich wywodów, określił swój estetyczny kanon naukowca-atrysty, stał się artystą.

Prace naukowe Wacława Borowego mogą stanowić osobny przedmiot rozważań jako skończone arcydziełka kunsztu pisarskiego. Już dawniej — przed wojną — w różny sposób zwracano na to uwagę. Pisał o tym i Stanisław Wasylewski i Stanisław Rogoż i Ludwik Fryde i Karol Wiktor Zawodziński. Nazywano go „krytykiem o spokojnych nerwach", „zatajonym artystą", stwierdzano już w tytułach uzdolnienia niezwykłe u naukowca: „Wacław Borowy, czyli o artyzmie w krytyce literackiej". Ciekawa praca na ten temat ciągle jeszcze oczekuje swego autora. Powojenny dorobek Profesora dostarczył do niej nowych, jeszcze ciekawszych materiałów. Choćby wspaniała technika portretu literackiego w książce „O poezji polskiej w wieku XVIII", choćby głęboki artyzm patetycznie wstrzemięźliwych a grających wszystkimi barwami odczuć nekrologów (we „Wspomnieniu o Kazimierzu Piekarskim" lub „January Kołodziejczyk, czyli sztuka życia"). Ktoś, kto się podejmie pracy o Borowym-artyście, pełniej oświetli jego postać.

W tym szkicu ani miejsca, ani odwagi nie staje na szersze rozwijanie tak kuszącego tematu. Trudno się jednak obronić przed

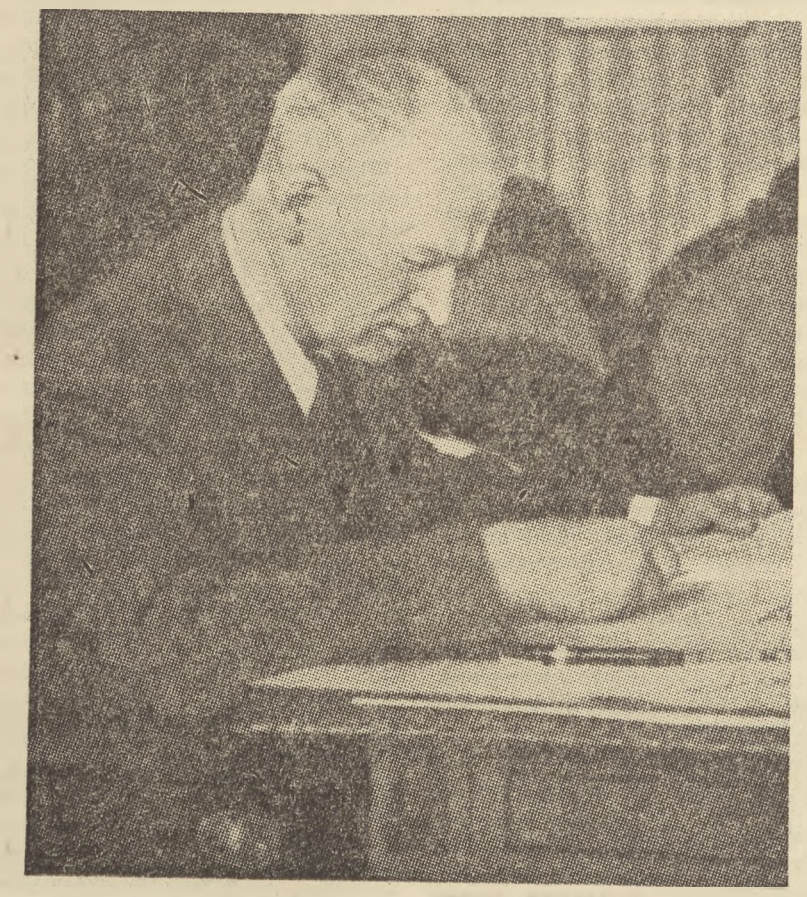

najbardziej zniewalającymi pióro uwagami.

Bo przyjrzyjcie się bliżej np. architektonice poszczególnych, nawet najdrobniejszych rozpraw. Jakie tu wszystko lekkie a spoiste, wdzięczne a proste, niemal ażurowe a mocne jak żelbet. Planowy rozwój każdego wywodu uderza przejrzystością, konsekwencją, logiką dobrze zbudowanego domu. Gdyby ktoś się uparł, podjąłbym się dostarczyć mu niemal graficznych wykresów doskonale skonstruowanego wywodu. Spróbujcie sami z „Kraszewskim jako krytykiem literatury europejskiej", z „Kamiennymi rękawiczkami" czy wspomnianym „Boyem jako tłumaczem". Wszędzie rządzi tu ład, spokojna planowość, opanowana pasja artysty.

A te lekkie, uśmiechnięte zaproszenia pierwszych zdań! Są one jak lekkie schodki prowadzące wygodnie w głąb domu. Raz zaczyna się rozprawa od malarskiego opisu Wyspy św. Ludwika („Niemcewicz w Paryżu"), innym razem od cytatu przepysznej dewotki z „Monachomachii" („W cypryjskim powiecie"), od fragmentu marmurowego nagrobka („Kamienne rękawiczki") czy dowcipnego motta („O Pawle i Gawle"), Czuć w tym wszystkim wielką, dojrzałą troskę o pełnię oddziaływania słowa. A czy to nie jest troską artystów?

A język, styl, leksyka prac Wacława Borowego? Zdanie czyste, wyzwolone z wszelkich naleciałości, składnia zmienna w swoim wewnętrznym rytmie, zawsze dostrojona do przedmiotu, epitety celne, określenia i porównania plastyczne... Nie ujmiesz tego w publicystycznym wyliczeniu!

Zacznijcie więc, poloniści uzbrojeni w dyplomy i narzędzia, zacznijcie pracę o naukowcu-artyście od rozdziału: „Borowy-stylista".

Akomu by powierzyć analizę subtelnego dowcipu Profesora? Oddać tę sprawę seminarium polonistycznemu — trochę straszno. Skatalogizują, zamkną w działy, poszatkują w poddziały, przy rozlewaniu do ampułek, próbówek i retort eter im wywietrzeje, rozłożą jeszcze bezradnie ręce i stwierdzą kategorycznie: współczynnika dowcipu nie skonstatowano!

A jest! Jest żywy, dyskretny, wielorako przytajony i uśmiechnięty w zdaniach spokojnych, pozornie beznamiętnych. Czasami do broduszny, chwilami komiczny, zawsze opanowany rygorem wielkiego taktu i koniecznego dystansu. Wystarczy wspomnieć przedwojenne, a i powojenne polemiki Profesora. Adwersarze musieli mu w ciętości i elegancji dowcipu — jak Rey przed Kochanowskim w poezji — „dank przed sobą dawać".

Nie był to wszakże dowcip wesołka, dowcip rubachy. Nie graniczył nigdy z rabelaisowską jowialnością, kojarzył się raczej z chamfortowską elegancją i taktem, czy opanowaniem i precyzją La Rochefoucaulda.

Tu przychodzi myśl o wymarzonym autorze analizy dowcipu Profesora. Jakże świetnie mógłby zrobić to Boy! On, który tak nie znosił „polonistyki od Zagłoby", który tak doskonale czuł najrozmaitsze style i lubował się w bogactwie odcieni — tu znalazłby przedmiot godny swego pióra i swego dowcipu. Nie jest chyba nietaktem pomarzyć przez chwilę: to byłoby arcydzieło... I jaki piękny, szlachetnie pojęty rewanż: „Borowy i jego dowcip" za „Boya jako tłumacza".

W samej rozprawie o „Boyu jako tłumaczu" autor pracy o dowcipie Profesora nad niejednym miejscem musiałby się zatrzymać. Może by się trochę pośmiał ze zdania, że „Są u Boya nawet 1-zgłoskowce (u Rabelais'ego, I rozdz. 13); niestety, nie nadają się one do cytowania, ale sam musiałby zacytować zdanie, w którym autor rozprawy po rzetelnym omówieniu uzdolnień tłumacza, przechodzi do jego niedociągnięć i konkluduje: „Tak tedy, jak widzimy, i Boy ma zdolności popełniania omyłek".

Trudno tu wyliczać, klasyfikować, zestawiać uśmiechy uczonego w jego „Studiach i rozprawach". Powstrzymuje lęk przed polonistyczną biuralistyką i poczucie, że i tak wszystkiego się nie wskaże. Czytając po raz któryś tam swoją ulubioną rozprawę „W cypryjskim powiecie" odnotowałem mimochodem około dwudziestu błysków humoru. To strasznie brzmi: dwadzieścia błysków humoru. Coś tak, jak: matematyka i dusza. Dajmy spokój! Chodzi po prostu o przyjemność czytania takich zdań, jak: „...retoryczne apele poety zwracają się do słuchaczy takich, jak: zdrój, kaskada, echo, tulipan, konwalie, mirt, itp.", czy (w podrozdziale „Kompleksik mikrokosmosik" przy analizie „łagodnego bzika" Kniaźnina, polegającego na predylekcji do czasownika „łechtać") — „Lektura zresztą oswaja nas z nim prędko i kiedy pada pytanie „Cóż jest kobietka?" (I 27), za zupełnie stosowną uważamy odpowiedź: „Duszy ułechtanie". Albo cała struktura „humoreski krytycznej"! Stanisław Wasylewski wykrzykiwał o niej: „Jest to chyba unikat w literaturze. Żeby polonista, nawet taki, który nie chciał zostać profesorem uniwersytetu, podawał wyniki swoich badań naukowych na wpół żartem, na wpół serio!" („O Wacławie Borowym", Wiadomości Literackie, nr 245 (337) z dn. 15. VI. 1930 r.).

Wolę poniechać nie dających się zakończyć wyliczeń. Zakończę je jednym jeszcze przykładem. Kiedyś, w czasie trwania jakiegoś zjazdu polonistycznego — Profesor słuchając długiej wypowiedzi polonisty, którego postawy nie podzielał, a przejrzystość myślenia oceniał krytycznie, wyszeptał z podziwem taki komplement: „Co za niesłychana umiejętność stwarzania pozorów jasności!"

Pomnóżcie to wiele, bardzo wiele razy, odczytajcie takie zdańka w najbardziej rzeczowych i uargumentowanych rozprawach, dodajcie cały wdzięk, ciepło i życzliwość mądrego człowieka — a powstanie przybliżone wyobrażenie o uroku dowcipu Wacława Borowego.

POZNAJĄC w najmniejszym studium, w najdrobniejszej rozprawce zespolone w jednolitą pełnię zabiegu poznawczego wszystkie cechy umysłu i talentu naukowego Profesora, niejeden miłośnik jego dzieła zapytywał siebie, jakim sposobem postępowania wobec przedmiotu, jaką siłą, organizującą wszystko w całość, tłumaczy się efekt, wynik, osiągnięcie każdej pracy.

W naszych latach pytanie to krystalizowało się w pytaniu o metodę. Jaką metodą posługiwał się Wacław Borowy? W okresie zaostrzonego starcia metod, w ogniu sporów metodologicznych pytanie to jeżyło się brutalnymi skrótami. Biografizm? Psychologizm? Fenomenologizm? Formalizm? Socjologizm? Wydaje mi się niemal, że widzę niechętny grymas ust na twarzy Profesora, gdyby go zaszachowano tymi izmami. Każdy z nich uznałby za uproszczenie.

Tu czas na słowo twardsze w szkicu, który chciał być pełnym hołdu utrwaleniem — na miarę sił niedostatecznych — profilu uczonego, ale nie chce i nie może zacierać niczego przemilczeniami. Ów niechętny izmom grymas na twarzy Profesora jest słusznym protestem przeciwko zamykaniu bogactwa myśli badawczej w prymitywnym segregatorze, ale jest także i częściowym unikiem intelektualnym, wyrazem taktyki defensywnej, manewrem odwrotnym.

Wacław Borowy nie lubił zagadnień metodologicznych. To może śmieszne słowa: nie lubił. Ale słowa prawdziwe. Wolał konkret historyczno-literacki niż kwestię teoretyczno-literacką. W tym „nielubieniu", w tym „woleniu" była ocena swojego kierunku uzdolnień. Profesor nie był teoretykiem, nie był metodologiem, nie był syntetykiem. Był krytykiem, historykiem, analitykiem. Unikał zagadnień ogólnoteoretycznych. Wchodził z wielką żarliwością w zagadnienia historyczno-literackie. Oczywiście, erudycja jego obejmowała i tamtą sferę zagadnień, miał swoją ich ocenę, wyciągał z tej oceny wnioski dla swojej pracy badawczej, ale kierunek jego zainteresowań i niezwykłych uzdolnień prowadził w gąszcz faktów, a nie w zawiłości rozważań teoretycznych. Tu pozostawił uczucie niedosytu, uczucie braku, żal, że jednak gdyby i tu...

Z niechęci Profesora do metodologicznych izmów nie wynikało wcale lekceważenie egzaminowanych przez historię metod. Nie chciał się zamknąć i nie mieścił się w żadnej, z każdej wydobywał to, co słuszne, od każdej się uczył. W czterdziestoletnim trudzie pracy badawczej gromadził doświadczenia i krystalizował wytyczne, sumujące się w zwarty, zawsze rozszerzany zespół przesłanek. Odpowiedź na pytanie natarczywych metodologów może być tylko jedna: Wacław Borowy posługiwał się metodą Wacława Borowego. Wykształcił i wydoskonalił własną, indywidualną postawę wobec przedmiotu literackiego. Badacze-naukowcy określą ją kiedyś dokładnie. Dziś najogólniej powiedzieć o niej można, że polegała na filologicznej i estetycznej analizie tekstu, rozumianego i traktowanego jako zapis artystycznego poznawania świata przez konkretnych, żywych ludzi. Analiza taka musiała obejmować i obejmowała badanie zewnętrznych warunków dzieła i twórcy, tradycji kulturalnych i indywidualnego zabarwienia każdej osobowości.

Można dyskutować pełnię lub raczej niepełnię tego określenia. Można — zwłaszcza z perspektywy doświadczeń historycznych zgromadzonych po dzień dzisiejszy — odczuwać brak głębszego wnikania w zespół uwarunkowań społecznych, pomagających wyjaśnić dzieło. Można zastanawiać się, czemu Profesor nie stworzył „szkoły". Można wątpić nawet w słuszność tworzenia takiej szkoły. Nie wiem czy bym się do takiej szkoły zapisał. Nie to jest najważniejsze.

Był szkołą sam w sobie. Był metodą sam dla siebie. Erudycja, talent, praca, rzetelność, głęboka kultura sprawiły, że jest zjawiskiem niepowtarzalnym, a tym bardziej cennym. Dał kulturze polskiej, polskiej historii i krytyce literatury wielki skarb ukochania człowieka w sztuce, skarb wnikliwego poznania wielu pięknych dzieł, skarb rzetelnego poznania ukazywanych w sposób odkrywczy wartości.

WAŻĄC w dłoniach dwa tomy wrocławskiego wydania „Studiów i rozpraw" cieszymy się więc z udostępnienia w tej formie wyboru prac Wacława Borowego. Cenna ta pozycja, wielka zasługa wydawców, głęboka wdzięczność odbiorców.

Tym bardziej, że do wydania prac Profesora przystąpiono

(Dokończenie na str. 11)

Stanisław SAK

PODŁA ŚMIERĆ

Panu Konradowi Czarnockiemu z Antałówki.

Rzeczy, które opisuję, zdarzyły się naprawdę, zarówno te, które wejdą do historii gór i z kart książki świadczyć będą o niezłomnej polskości naszych górali, jak te, które przypadkowo widziałem na własne oczy, a które pozostaną w mitologii i podaniach ludowych. Pragnę przekonać Czytelnika, że posiadają one nie mniej wewnętrznego wyrazu i zewnętrznej barwy niż sławne czyny „partyzantów" Nędzy — Litmanowskiego. Niechaj mój nieudolny komentarz posłuży jako pożywka dla własnej wyobraźni Czytelnika.

I.

ŚNIEG cofa się ospale. Czai się w rozpadlinach, przypada w wąwozach, przywiera do załomów skał. Białe cyple, ostatnie straże uchodzącej zimy, zalegają miejsca ciche, ustronne, wolne od ciepłych wiatrów. Ziemia rośnie. Już tu i ówdzie spotkasz kwiat wiosenny, tuż obok stwardniałego śniegu — zerwiesz go naturalnie — i zapragniesz zaraz, aby wyrósł znowu, taki sam, ten sam. Od słońca biegnie ku ziemi światło ciepłe — tak delikatnie, że nie drgnie gałązka świerku ni trawa. Jest niebiesko i złoto.

*

TAKA to była wiosna 1945, gdy grzechoczącymi furgonami od jeżdżała na zachód klęska. Konie o zapadłych bokach ciągnęły przeładowane pojazdy na wielkich kołach, a woźnice w brudno-zielonych płaszczach wędrowali obok w nadziei uratowania sześćdziesięciu kilogramów więcej. To była katastrofa. Śmiesznym i dalekim zdał się teraz tym ludziom wyuczony entuzjazm walki, ale, dociągających pasy, odszedł już i entuzjazm ucieczki, nadziei. Nikt już nie poganiał koni. Jechano przecież tylko i ciągle na zachód. Dniem i nocą skrzypiały niesmarowane koła — a gdy mrok osłaniał blaski i cienie żołnierskiego „honoru" — niejednego górala straszył zagłodzony żołdak prosząc w międzynarodowym języku o chleb.

Saperzy nie próżnowali. Od Podkarpacia, krok w krok za uciekającym wojskiem wylatywały w powietrze mosty przewieszone nad potokami — a wojsko szło dalej i ciągle dalej. Wreszcie, w horyzoncie ulicy Kościeliskiej zginęła ostatnia, sterczącą ostro na koźle sylwetka woźnicy — i pozostało na szosie błoto.

W parę godzin później przeleciał szosą z nieznośnym, żałosnym chrzęstem rozklekotany furgon wlokący spłoszonego żołnierza. Maruder napół stojąc okładał rózgą konia i co się z nim potem stało — nie wiem.

Przyszły dwa bliźniacze, przezroczyste, dziwne dni. Czekaliśmy dalszego biegu wypadków, czekaliśmy, że coś się stanie, coś, co przerwie niepokojącą, żenującą ciszę. Nie wiedzieliśmy wprawdzie, co to takiego będzie, ale dudnił nam przecież w uszach chrzęst pomykającego spóźnionego furgonu — więc logika i pragnienie kazały nam sądzić, że nadejdzie pogoń. Tak, w tej małej kotlince, oderwanej od reszty świata przecięciem szyn kolejowych, nie mogło być mowy o tolerowaniu pustki, jaka zapanowała na drodze. Przecież wisieliśmy w powietrzu.

Nareszcie, nocą z drugiego dnia na trzeci posłyszałem oczekiwany stuk na kamienistej szosie. Spełniło się. Wypadki biegną dalej.

Niesposób żyć poza wypadkami.

Wczesnym rankiem, zaraz po dojeniu krów, wślizgnęła się do izby gospodyni przynosząc codzienne mleko i świeżą wiadomość o tym, że gazda wyjechał konno na drogę, aby zobaczyć, co się dzieje, bo im się zdaje, że to będą ruscy.

Tak było naprawdę. I o nas nie zapomniała historia. Zawadziła

wprawdzie tylko bokiem, cedując nam misję przepuszczenia taborów w żywnością, odzieżą i innymi materialnymi rezerwami armii — ale przecież chętnie przyznawaliśmy, że ładowne taczanki były jednak pościgiem, były tym, co ciągnie nieuchronnie naprzód, były czymś niezbędnym i koniecznym w dziejach.

Poprzez karawanę pojazdów, od czoła ku niewidzialnemu tyłowi, przeszedł okrzyk, niewyraźny i gromki: wozy stanęły. Nadjeżdżający zwalniali stopniowo. Co się stało? Widocznie czoło, odległe już od nas o parę kilometrów, napotkało na przeszkodę, zerwany most, a może co innego.

I ja, człowiek z dalekiego miasta, żyjący jeszcze wówczas z barwnych i kruchych marzeń, jakie niegdyś wyśniłem błądząc wśród nieobjętego horyzontu czterech ścian, potem wygnany z miłego gniazda, plączący się wśród tubylców dotychczas mi obcych, zapragnąłem wskoczyć na pierwszy furgon, zamachać nogami w powietrzu i pojechać, pojechać przed siebie, z nimi — nie wiedząc dokąd. Podszedłem do woźnicy w czapce z barankiem i zapytałem: — Hej, tawariszcz... — odwrócił ku mnie głowę, zawahałem się. Tawariszcz.. — i potem — mołoka choczesz?

Przez chwilę milczał, a ja drżałem na myśl, że mi odmówi. Potem rzekł: Nu, dawaj Pobiegłem do chaty, i, gdy nalewałem mleko do kubka — wozy ruszyły. Pozostałem przed chatą z kubkiem mleka w dłoni.

*

Tegoż ranka „wódz" znalazł węglem na drzwiach wypisany wyrok. Nie, nie oficjalne ostrzeżenie, że „w razie, gdyby uporczywie..", jakie ludziom, wymierzającym sobie w wielkich miastach ogólnoludzkie sprawiedliwości dyktuje kurtuazja i wyrachowanie. „Wódz" dostał wyrok prosty i brutalny, wyrosły z bólu, żalu i krzywdy — wyrosły z nienawiści i strasznej, chłopskiej pogardy:

„Pockaj, Wacuś, be-es wisioł za cóś".. Złośliwy, straszny żart.

Koślawymi literami widniała wypisana na drzwiach ironia i gorzki śmiech, śmiech, który powoduje kostnienie.

Nad kotlinką Kościelisk wisiała lekka, poranna mgła, która nie grozi słotą. Wtulona w delikatne, mgielne, dalekie zarysy świerków — stała cisza. „Wódz" góralski zawarł wówczas na pewno powoli drzwi i już pozostał w chacie.

II.

OD czego zacząć? Może od tego, jak cyniczni spadkobiercy Nietzschego wyrysowali na mapie szlak Gotów, prowadzący przez karpacką kotlinę, jak kazali tu rozbić krzyżowcom germanizmu namioty i zaprowadzić ład wysokiej cywilizacji? Jak to kazali geniuszowi pierwotnych osiedleńców wynaleźć kształt mosiężnej spinki, jak ów kształt osiadł wreszcie na spodniach w formie rdzennie germańskiej wyszywanki, tak zwanej parzenicy, jaka to jest prawdziwie i jedynie naukowa geneza garbatego nosa i rytualnej fajki? — Dajmy temu spokój.

Wiadomym nam jest natomiast, że rozpierający się w kantorku luksusowego „Maratonu" niejaki Witalis Wieder z zawodowym znawstwem rozpoczął pertraktację z wysoką cywilizacją germanizmu lat trzydziestych naszego wieku, w sprawie dożywotniego wynajęcia Niemcom kilku okręgów podkarpackich łącznie z wiktem i opierunkiem.

Znany jest nam również fakt, że działacze Związku Górali, panowie gazdowie Wacław Krzeptowski i Józef Cukier zgodzili się na funkcję pokornych służących wielkiego hotelu pana Witalisa Wiedera, że ci pokorni służący mniej lub bardziej cierpliwie tłumaczyli mieszkańcom Podkarpacia i gór, nieco zdziwionym gwałtownym najazdem zagranicznych gości — że może owi turyści zachowują się zbyt niespokojnie, ale że wszak obowiązkiem gospodarzy jest cierpliwość, że należy najpierw wyciągnąć dłoń na wieczną zgodę.

To smutna anegdota. W relacjach wygląda to tak:

22 lutego 1942 powstaje Komitet Góralski, nazwany fachowo „Goralisches Komitee" — dla spraw, nieoficjalnie, germanizacji Podkarpacia, oficjalnie — stworzenia „niezawisłego" państwa góralskiego pod opieką rządu Generalnego Gubernatorstwa — dla „Goralenvolku". Ponieważ historyczne fakty, nawet w wypadku zamachu stanu, muszą mieć swoje historyczne uzasadnienie, — zdrajcy narodu w osobie nowomianowanego „cepra" z Warszawy, dra Szatkowskiego i jego miejscowych pomocników: naturalnego cepra, Witalisa Wiedera oraz górali, Wacława Krzeptowskiego i Józefa Cukiera — próbowali przekonać chłopów, że „Goralenvolk" jest pięknym i wonnym kwiatem, wykwitłym na glebie dotychczasowej historii gór, począwszy od narodzenia Pana Jezusa.

Zawiązawszy pod brodą barwną kokardę góralskiej guni i nasadziwszy germański kapelusz z muszelkami na głowę, udał się Wacek Krzeptowski do stolicy Generalnego Gubernatorstwa, miasta „Krakau" nad rzeką „Weichsel", aby złożyć należny hołd nowemu panu — Frankowi. Ale nikt go nie pożegnał na dworcu. Interes został ubity, but po ałowany i Wacław Krzeptowski powrócił do Zakopanego. Ale nikt go na dworcu nie powitał Tak to nieciekawie zaczęła się karkołomna kariera „wodza".

Każdego, kto czynem lub słowem świadczył o tym, że z narodowości pozostał „Górolem-Polokiem" — czekała kaźń na ulicy Chałubińskiego przy aprobacie samozwańca.

Dom fuehrera w Kościeliskach omijano na przyzwoitą odległość, czego nawet sam „wódz" nie był w mocy nazwać „należnym szacunkiem".

Strach rodził odwagę i protest. Zaczęła się walka. Początkowo cicha, polegająca na zbiorowym, solidarnym, zaciętym oporze, wreszcie — napół otwarta, jak każda walka podziemna. W górach straszyło widmo partyzantów, w dolinie czuwali przewodnicy gotowi prowadzić polskich „politycznych przestępców" wobec okupanta choćby do Budapesztu.

Wiosna 1945 przegnała kolonizatorów z gór. Nie — gestapo i policja nie wyjechały na furach. Umknęli nie wiadomo dokąd i nie wiadomo kiedy. Na wozach wyjeżdżali żołnierze, dla których ucieczka znaczyła mniej niż wielka nadzieja spotkania znowu swoich, bliskich sobie ludzi, od których poszli na nędzne żołnierskie życie, po sławę zaoginiającą trupie mózgi skryte pod sztywną oficerską czapką.

Ale w Zakopanem, wśród obcych mu ludzi, pozostał jeszcze zdrajca. Na drzwiach chaty byłego Goralenfuehrera wpisała się sadzą historia Był to ostatni rachunek: „Kasa wypłaci".

III.

WOZY jechały ciągle, a ja biegałem dokoła własnych, codziennych spraw. Tego dnia, załatwiwszy pomyślnie u górala w Kościeliskach transakcję wymiany pary skarpetek na kubek masła, wracałem drogą wiodącą pod górę poprzez małe świerczki, wilgotne i lśniące od rosy. Po mej prawej stronie, ponad delikatnym, zwiewnym pasemkiem mgły, wyrastały gwałtownie niezdarne góry, łamiąc na swych kostropatych cielskach młode, trwożliwe, różowe blaski słońca. Dojrzała ziemia uginała się pod nogami, spod kamieni wyglądały kwiaty. Samotna wierzba strzelała witkami strojnymi w srebrne, młodziutkie kotki.

Doszedłem do zakrętu, za którym droga biegła prosto poprzez niezarosłe niczym, wolne od zagród pole, i wpływała w szosę Zakopane

— Wilów Przystanąłem na chwilę i rozejrzałem się dokoła, jak każdy, kto po uciążliwym marszu osiąga szczyt. Poza mną, w małej, baśniowej kotlince pozostała samotna wieś. W chłodnym, porannym powietrzu chaty zbiegły się w stadko, dym z kominów zlewał się w jedno pasmo, zataczał kręgi ponad dachami i brał się z mgłą. Przede mną bliska, wzniesiona i falista linia horyzontu przesłaniała widok i należało wspiąć się jeszcze o kilka metrów wyżej, aby dojrzeć odległy grzbiet Antałówki, poza którym już, dla nas, w roku 44 mógł rozciągać się biegun północny, mogła także kwitnąć palma daktylowa. Potem ruszyłem dalej i, mijając ostatnią kępę drzew, wyszedłem poza zakręt.

Na czystym, pustym polu stały trzy świerki.

W kilka lat później, na drugim końcu kraju, nad samym morzem, przestraszyłem się pewnego łysego wzgórza, różniącego się od innych tym, że na tle fioletowego horyzontu sterczały z niego ku niebu szczątki samolotu jak piszczele lub palce nieszczęścia. Trzy zwykłe, wysiane wiatrem świerki sprawiały na mnie zawsze to samo, niepokojące wrażenie. Jeśli nazwiecie to nierozumnym przerostem wyobraźni, odpowiem, że to trudno, ale że tak przecież było. Są rzeczy w naturze o szczególnej, niepokojącej, barwie lub kształcie, bywają rachityczne drzewa, na przykład, które omijamy z niewiadomych przyczyn i długo pamiętamy ich mękę.

Dokoła wrzynających się w niebo świerków stała nieruchoma grupa ludzi. Podszedłem bliżej i stanąłem z tyłu. Na ziemi, pod drzewem siedziała kobieta sztywna, bez wyrazu. Patrzyła przed siebie tam właśnie, gdzie nic się nie działo. Na kolanach kobiety spoczywała głowa przykryta czapką, spod której wyzywająco sterczała do góry niepielęgnowana, czarna broda. Dłonie trupa o palcach skostniałych jak szpony leżały niedbale na ziemi. — „Pietà" — pomyślałem.

Stałem przez chwilę i patrzyłem na ten dziwny obraz, wymalowany przekornie i dziwacznie wśród wiosennego krajobrazu, wpisany w tło rodzącego się życia. Twarze świadków tego niemiłego incydentu pozostały nieodgadnione. Zwróciłem się do mego sąsiada w białych portkach i turystycznej czapce:

„Kto to jest?" — Ale mój sąsiad patrzył na trupa i jego suchą płaczkę wzrokiem dziwnym, bo nic nie znaczącym i nie odpowiedział na moje pytanie.

Z drugiego końca milczącego kręgu ozwał się głos: „Na co ci to, Wacek, przyszło, widzisz ot." — Potem jakaś postać schyliła się ku ziemi i podniósłszy twardą, lepką grudę, cisnęła nią w trupa. „Niech ci tam ziemia lekka będzie za to wszystko". W ślad za miłosiernym wezwaniem gruda zatoczyła łuk w powietrzu, odbiła się od piersi siedzącej kobiety i spadła. Siedząca nie drgnęła i nie zmrużyła oczu. Sterczała wśród pola, symbol ofiary, którą władają sprzeczne siły i osadzają na miejscu. Raz po raz ręce ludzkie schylały się ku ziemi, padały na martwe ciało kamienie i grudy, coraz większe, coraz silniejsze i coraz mniej chrześcijańskie. Usłyszałem głosy: „Za to wszystko, Wacek, niech ci..." „Za moje wszystko, Wacuś, pamiętasz?" .. Ale Wacek nic już nie pamiętał i przyjmował ze spokojem rachunek, jaki mu wypłacał skrzywdzony i obrażony przez niego lud.

Partyzanci wykonali wyrok i poszli w góry. Ci ludzie, nieświadomie a cynicznie parafrazując obrządek żegnania odchodzącego garstką ziemi, kierowali się brutalnym ale nieomylnym poczuciem sprawiedliwości .

Góralka, stojąca obok mnie, dotychczas milcząca, powiedziała nagle: — „Do piekła pójdziesz, Wacek, et.." — i solidaryzując się z Bogiem, podniosła powolutku z zie

(Dokończenie na str. 10)

Stefan LICHAŃSKI

Merytoryzm, normatywizm i estetyzm

RÓŻEWICZ[1]) jest niewątpliwie w poezji polskiej zjawiskiem ciekawym i ważnym. Nie decyduje o tym tylko talent autora „Niepokoju" Wśród reprezentantów każdego pokolenia literackiego znajdujemy sporą grupę młodych ludzi obdarzonych nieprzeciętnym talentem Z grupy tej wywalcza sobie bardziej trwałe stanowisko w literaturze zaledwie paru... Najzdolniejszych? Hm, niełatwo odpowiedzieć na to pytanie. Nie istnieje dotąd żadna poradnia psychotechniczna dla artystów, która mogłaby określać choćby w jakiś przybliżony sposób potencjalną siłę poetyckich talentów. Zbyt mało wiemy dotąd o psychologicznych i fizjologicznych uwarunkowaniach twórczości artystycznej, by móc rozprawiać o niej w oderwaniu od jej gotowych (co najmniej w brulionowej, szkicowej formie) wytworów. Pewne jest jednak, że zdecydowana większość talentów wypala się bardzo wcześnie. Pewne jest również, że ci, którzy zdołają zorganizować swoją działalność pisarską i podporządkować ją jakimś określonym, konsekwentnie stosowanym dyrektywom, osiągają na ogół poważniejsze wyniki niż ci, którzy poprzestają na rabunkowej gospodarce zasobami wrodzonych uzdolnień. Programofobię należy zwalczać również z tego względu, że prowadzi ona do marnotrawstwa sił twórczych, że pozostaje w sprzeczności z zasadą ekonomii pracy.

Różewicz posiada wyraźnie sprecyzowany program działania artystycznego. Jest on poetą świadomie i konsekwentnie antyretorycznym. Usuwa on ze swojego arsenału środków wyrazu elementy zdobnicze, wszelką ornamentykę stylistyczną; metaforyka jego stanowi nie wzmagający emocjonalną sugestywność wierszy akompaniament obrazowo - nastrojowy, ale metodę kształtowania materiału treściowego.

Rozpatrywana od strony warsztatu poetyckiego twórczość Różewicza spełnia postulat monizmu treści przez radykalne podporządkowanie elementów wyrazu elementom znaczenia, przez świadome formowanie kształtu nie dla niego samego, ale w celu jak najprecyzyjniejszego ujawnienia zawartości. Jeżeli z kolei stwierdzimy, że materiał treściowy swych wierszy czerpie Różewicz przede wszystkim z zagadnień współczesności (wojna na Korei, powstanie malajskie, uwolnienie Tybetu przez wojska chińskie, manifestacje pierwszomajowe, budownictwo socjalistyczne, postaci takich bojowników demokracji i postępu, jak Nazim Hikmet czy Gabriel Peri) i że jak najbardziej zdecydowanie wypowiada się on po stronie obozu wolności i pokoju, pretensje zgłaszane pod jego adresem przez krytykę wydają się z pozoru bardzo dziwacznym nieporozumieniem.

Trzeba jednak zdać sobie sprawę z tego, że i monizm treści może stać się zasadą obowiązującą wyłącznie w dziedzinie warsztatu pisarskiego. „Treść wyznacza i określa formę". Dobrze, ale co wyznacza dobór i hierarchię treści? I tu problemat wraca, wraca w formie jeszcze bardziej ostrej i dramatycznej Teraz już bowiem nie można chować się za ogólnikowe pojęcie „treści w ogóle", trzeba zacząć mówić o konkretnych, wyraźnie określonych treściach. Albo też przyjąć zasadę, że wyborem treści kierować będzie ich potencjał formotwórczy, co w praktyce równa się wpuszczeniu kuchennym wejściem (od strony warsztatu) wypędzonego frontowymi drzwiami (od strony fasady, „oficjalnego" programu pisarskiego) estetyzmu. Dramat twórczości Różewicza rozgrywa się między tymi dwoma ekstremami i polega na szukaniu takiej koncepcji działania poetyckiego, która wybierając pierwszy z nich ocalałaby jednak także w miarę możliwości i drugi. Merytoryzm postawy poetyckiej Różewicza jest mimo wszystko podszyty kryptoestetyzmem.

Najbardziej rzucającym się w oczy autodemaskacyjnym gestem tego zmimikryzowanego estetyzmu jest dogmatycznie i po doktrynersku przestrzegana zasada ascezy słowa. „Maksimum aluzji obrazowych w minimum słów", jak brzmiał jeden z podstawowych dogmatów poetyki awangardowej. Sformułowanie to trzeba zresztą rozszerzyć. Chodziło przecież o aluzje nie tylko obrazowe, lecz także i pojęciowe, a poza tym o sugestie emocjonalne. Ta kondensacja prowadziła do zasady maksymalnej metaforyzacji języka poetyckiego oraz do deformacji składni w wyniku stosowania techniki eliptycznej w budowie zdania. Różewicz rezygnuje z programowej metaforhoritis, składa z niej ofiarę na ołtarzu bóstwa Komunikatywności, ale przyjmuje zasadę aluzyjności wyrazu i eliptyczności składni. Aluzyjność ta polega na sprowadzaniu obrazu czy przedstawienia bezobrazowego do jego najistotniejszych elementów i najbardziej zasadniczych związków między nimi. Daje to niejednokrotnie efekty wręcz świetne poetycko:

W ciepłe popioły
zwęglonych ludzi
w popioły zgasłe
domów i zwierząt
ziarno upadło
Ziarno nadziei

(„Wiosenny siew na Korei")

Zasadzili uciętę głowy
w kauczukowych lasach
czarne głowy
milczące usta
Zasadzili uciętę głowy
w kopalniach cyny
milczące usta
Zasadzili uciętę głowy
na postrach wolności

(„Yenderan")

Weźmy jednak taki oto fragment z wiersza „Pieśń Nazima Hikmeta":

Nazimie Hikmet
twoja pieśń żyje
Woła do nas
z czterech stron świata
napełnia niebo i ziemię
wzywa
morderców przed sąd

zestawmy ten fragment ze strofą Broniewskiego:

Idą faszyści. Wiodą natarcie
marokańskimi batalionami.
Madryt czerwony walczy zażarcie.
Pięść podniesiona. Cześć i dynamit!

W obu wypadkach znajdujemy maksimum aluzji znaczeniowych w minimum słów, w obu wypadkach elementy wyrazu są zorganizowane tak, by jak najsilniej podkreślały znaczenie. A jednak sugestywność tych dwu fragmentów jest bardzo różna. Dlaczego? Aluzje Broniewskiego sugerują fakty, aluzje natomiast Różewicza odrealniają fakty, akcentując w nich elementy najbardziej ogólne, abstrakcyjne. W ten sam sposób można by przecież charakteryzować poezję np. Victora Hugo, Carducciego, Nerudy. Uogólnienia przemieniają się tu w ogólniki.

Środkiem obrony przed taką właśnie ku abstrakcjonizmowi oscylującą ogólnikowością staje się obraz metaforyczny. Często jednak obraz ten nie uzyskuje koniecznego minimum konkretności wizualnej, pozostaje zestawieniem pojęć i sugestii emocjonalnych, nierozwiniętym szkicem tematycznym obrazu, pseudo-obrazem:

Gromada ma oblicze
jasne dobre szerokie
ach szerokie
nieobjęte

(„Oblicze")

To poetyckie abstrakcjonizmy i abstrakcjonistyczne pseudo-obrazy, to haracz, jaki składa Różewicz teoretycznym założeniem swojej poetyki. Przypomina on w tych wypadkach owego liryka Awangardy, o którym mówi Irzykowski: „Zamiast powiedzieć: ja płaczę, poeta H. podaje formułę chemiczną łez i wywija z daleka chusteczką do nosa". Można tu, oczywiście, mówić bardzo pięknie rzeczy na temat „wierność samemu sobie", nie zmieni to jednak faktu, że chodzi właściwie o wierność wobec dowolnie przyjętych teorematów. Dziwi nas i śmieszy potulność klasyków wobec Boileau, ale czy naprawdę bardzo zmieni się faktyczny stan rzeczy, skoro ten i ów poeta stanie się takim Boileau na własny użytek? Przecież istota zagadnienia tkwi w tym, że żywą twórczość podporządkowano rygorom jakiejś na warsztat, formę, technikę nastawionej poetyki normatywnej. Podstawowy grzech normatywizmu to ustalenie *in abstracto* i *a priori* zasad budowania form poetyckich, to technicystyczny formalizm i ahumanistyczny estetyzm dostosowujący treść, zawartość, konkret realnej problematyki życiowej do wyimaginowanych zasad „czystej", „prawdziwej" czy jakiejś tam jeszcze sztuki.

A więc twórczość spontaniczna, „natchniona"? O nie, bynajmniej! Każdy poeta z prawdziwego zdarzenia musi mieć swoją poetykę praktyczną. Rzecz w tym, żeby ze zbioru reguł warsztatowych nie robić kanonu twórczości, merytorycznej determinanty własnego dzieła, żeby umieć poetykę tę traktować jako zawsze prowizoryczną, zdolną do przekształcania się i rozrostu, jako narzędzia dla wyrażania konkretnych treści.

Odbiegliśmy dość daleko od „Wierszy i obrazów" Świadczy to najlepiej, że książka ta jest książką mocną i żywą, niepokojącą i prowokującą, otwierającą szerokie perspektywy zagadnieniowe. Nie podobna zbyć jej zdawkowym komplementem, gdyż obca jej najzupełniej jest gładka „ładność" miernej poprawności; nie podobna również poprzestać w tym wypadku na recenzji czysto informacyjnej, gdyż książka ta atakuje zbyt silnie naszą wrażliwość zarówno swymi osiągnięciami, jak i niedokonaniami. Wiersze takie, jak „Poetyka", „Nie wiersz", „Yenderan", „Sen i przebudzenie", „Łza", „Wiosenny siew na Korei", „Śmierć mieszczańska", czyta się po kilka razy. Są one trwałą realizacją właściwego Różewiczowi stylu wypowiedzi poetyckiej. Na stylu tym ciążą niewątpliwie tradycje *par excellence* inteligenckiej poezji dwudziestolecia, goniącej za oryginalnością i niezwykłością wyrazu, za nowością coraz bardziej wyrafinowaną i zaskakującą. Te pozostałości przebrzmiałego panestetyzmu odcinają czasem poetę od bezpośredniego kontaktu z wrażliwością współczesnego czytelnika, zmniejszają komunikatywność jego wierszy. Nie zmienia to jednak faktu, że w „wierszach i obrazach" utwory żywe, porywające sugestywnością wizji i siłą wyrazu przeważają zdecydowanie nad martwo urodzonymi. Dlatego też zamykamy tomik z nadzieją, że może już o następnej książce Różewicza mówić będziemy jego własnymi słowami:

Czysty jest śpiew
poety
który służy
dobrej sprawie
On omija cmentarzyska
słów i obrazów
Rozgarnia szkoły rekwizyty
dotyka serc i rzeczy
Pisze wiersze proste. —

Stefan Lichański

Bronisław MAMOŃ

Oszczędność słowa

„Kto lekceważy wartość stylu, nie zagrzeje miejsca w literaturze".
Jan Parandowski, „Alchemia słowa".

ZAGADNIENIE stylu można rozpatrywać w dwu aspektach: teoretycznym i praktycznym Cóż teoretycznie da się powiedzieć o stylu? Z całą pewnością to, że nie jest czymś dowolnym i przypadkowym, ale wynika ze struktury psychicznej danego artysty, będąc swoistą kategorią poetyckiego widzenia rzeczy i ich kształtowania. Praktycznie o tej sprawie można mówić tylko w oparciu o konkretny tekst literacki. W tym wypadku mamy do czynienia z książką Stefana Otwinowskiego — „Spotkania z uśmiechem"[1]).

Książkę tę można by nazwać opracowanym literacko sprawozdaniem z częstych i systematycznych wypadów pisarza w „teren" (dokładnie do ziemi krakowskiej: Olkusza, Skały, Nowego Sącza, Chełmka, Nowej Huty, Jaworzna, Miechowskiego). Wypadom tym towarzyszą zawsze konkretne cele: wygłoszenie prelekcji literackiej, zorganizowanie odczytu, dyskusji, nawiązanie ściślejszego kontaktu z miejscowymi działaczami kulturalnymi i społecznymi, poznanie przejawów życia i pracy człowieka z prowincji.

To wszystko daje okazję do poczynienia licznych spostrzeżeń i zrobienia obfitych zapisków, od których pęcznieje notes reportera.

Cóż mówią obserwacje autora? Że znika „głucha" prowincja z życia polskiego, zmniejsza się dystans między wsią a miastem Powstają nowe obiekty przemysłowe: Nowa Huta, stolnia w Jaworznie Ludność robotnicza i wiejska garnie się do kultury: tworzy amatorskie zespoły baletowe, organizuje koncerty, odczyty, pogadanki, wystawy książek, daje dobre sztuki dramatyczne w teatrach amatorskich (Teatr Robotniczy w Nowym Sączu gra z powodzeniem „Niemców" Kruczkowskiego, „Balladynę" Słowackiego, „Moralność Pani Dulskiej" Zapolskiej). A to duży sukces prowincji! I słuszny powód do uśmiechu — uśmiechu wzajemnego: ze strony ludności wiejskiej i robotniczej, której pozwolono nie tylko korzystać z osiągnięć kultury, ale również ją tworzyć, ze strony autora, który notuje fakty twórczego zainteresowania człowieka z prowincji, aby skonstatować, że „ziemia krakowska rośnie". Ale nie o tym tylko chciałem mówić, choć to jest ważne, zasadnicze. Przejdźmy do zagadnień stylu, kompozycji — językowych, technicznych umiejętności Otwinowskiego.

Niektórzy recenzenci „Spotkań z uśmiechem" rzucili sugestię, że stylowi Otwinowskiego grozi maniera. Czy słusznie? Nie sądzę! Czyżby się można obawiać tego, że język Otwinowskiego w „Spotkaniach..." osiągnął niespotykaną prostotę, krótkość, jasność i lapidarność wyrazu? A może skłonność do eliptyczności — do przeskakiwania ogniw pośrednich konstrukcji językowych jest niebezpieczna? Bynajmniej! Więc cóż?! Czyżby to, co sugerował recenzent z „Życia Literackiego" — że „styl Otwinowskiego nie ma tych koniecznych węzłów, tych progów, zmuszających czytelnika do zatrzymania się w miejscach istotnych". Stwierdzenie niewątpliwie słuszne. Nie wiem tylko, czy w „Spotkaniach..." zasada ta nie okazała się właściwie szczęśliwa i artystycznie słuszna. Uprzemysłowienie kraju jest równie ważne jak przebudowa świadomości społecznej człowieka, jego wzrost kulturalny Stąd równoznaczne potraktowanie wszystkich spraw i równomierne rozłożenie akcentów logicznych.

To, co szczególnie trzeba podkreślić w „Spotkaniach...", to zdecydowana tendencja autora do oszczędności słowa. Jakże sowicie się opłaciła! A tematyka reportażu nasuwała tyle zdawałoby się nieprzezwyciężonych pokus pod tym względem. W takim wypadku jakże łatwo popaść w manierę bawienia się słowami lub wykazywania swojej erudycji zdobytej w wędrówkach terenowych! Pakuje się wtedy do reportażu przerażającą ilość fachowych pojęć, terminów zasłyszanych przypadkiem w warsztatach produkcyjnych, by częstować odbiorców ciężkostrawnymi pastylkami o niklej zawartości intelektualnej. Bezmyślność pseudo-naukowych upodobań niektórych publicystów i reporterów — przeraża.

Otwinowski nie poszedł tą drogą, dokonał starannej selekcji słowa, wzmacniając właściwości rytmiczne zdania przez odpowiedni jego układ i rozczłonkowanie syntaktyczne.

Zrezygnował również z „dekoracyjności", „upiększeń", wyszukanego doboru leksykalnego, przerostu metafory, kunsztownych porównań, efektownych przeciwstawień, łatwych wtrętów lirycznych i wszelkich „poetyzmów", które zawsze psują efekt artystyczny. Krótkość frazy, wprowadzenie równoważników zdań nadają szczególne tempo narracji: ogromną szybkość i „migawkowość". Wszystko to przypomina technikę filmową, gdzie obrazy rzucane na ekran przesuwają się tak prędko, że nie można objąć wszystkich ich szczegółów: chwyta się tylko główne rysy

A przecież mimo tych „schematycznych" skrótów nie można powiedzieć, żeby postaci w „Spotkaniach..." były martwe, abstrakcyjne. Galeria typów ludzkich, jaka się przesuwa przed naszymi oczami w czasie lektury „Spotkań...", chociaż naszkicowana parokroma tylko liniami, bez wykończenia ich rysunku psychologicznego, posiada akcenty indywidualne oblicze. Andrzej Kalita, sympatyczny dziwak, skrupulatny konserwator legend i historyjek podwawelskiego ogrodu; Adam Grobny — poeta i partyzant, pasjami lubiący opowiadać o konspiracji, przygodach partyzanckich; Karol Kubala — piękny okaz silnej woli zdobytej w „walce trudnej i rozmaitej" A Olchowski! Cóż to za wspaniały facet! Działacz oświatowy, historyk pozytywny, który zapisuje codziennie wszystkie fakty pozytywne w rozwoju polskiej kultury Ileż ciepła i humoru włożył autor w ukształtowanie tej postaci! Z humorem narysowane są nie tylko postaci, ale i sytuacje. Humorystycznie wygląda Olchowski podróżujący z fiolkiem alpejskim w doniczce, który otrzymał od delegacji szkolnej Z.M.P w Grodzisku Zabawna jest również sytuacja w czasie noclegu autora i Olchowskiego w Sławkowie, kiedy to o północy Olchowski wstaje z łóżka w długiej nocnej koszuli, by umyć sobie zęby, dlatego że zapomniał to wykonać wieczorem. A jeszcze inna sytuacja niemniej kapitalna: zaproszenie autora i Olchowskiego na obiad, wydany przez dyrektora fabryki obuwia w Chełmku „Olchowski jak zwykle ociągał się w krygach staropanieńskich, tak był pod tym względem podporządkowany konwenansowi. Konieczność jedzenia zwalczała w końcu w potężnym, dobrze zbudowanym mężczyźnie obowiązek towarzyskiej powściągliwości Pod koniec obiadu talerze Olchowskiego wyglądały prawie tak samo, jak przed rozpoczęciem obiadu". Nabłonek humoru osnuty na tkance zdarzeniowej książki oraz serdeczny i życzliwy uśmiech ustrzegł pisarza od niepotrzebnego patosu „Spotkania..." są przykładem, że o wielkich sprawach i szlachetnym patosie dnia dzisiejszego można pisać z uśmiechem, rezygnując ze starych i wytartych środków wyrazu „wielkiego" stylu

Bronisław Mamoń

[1]) Stefan Otwinowski, „Spotkania z uśmiechem", str. 113. Czytelnik 1952.

Tadeusz Różewicz: Wiersze i obrazy. Czytelnik 1952. Str. 59, 1 nlb.

KOMUNIKAT

Zmiana terminu przyjmowania zamówień i wpłat na prenumeratę.

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę dzienników i czasopism, począwszy od bieżącego okresu, przyjmowane będą w nowych terminach: **od dnia 11 każdego miesiąca do dnia 10 następnego miesiąca** — na najbliższy okres kalendarzowy.

Na okresy miesięczne—co miesiąc.

Na okresy kwartalne — odpowiednio do dnia 10-go m-ca grudnia, marca, czerwca i września.

Na okresy półroczne — do dnia 10-go m-ca grudnia i czerwca.

Na okres roczny — do dnia 10-go m-ca grudnia.

Obecnie, zamawiając prenumeratę na m-c maj, należy przedpłaty uiścić do dnia 10-go kwietnia br.

Jan PILSKI

FIASKO LEGALIZMU W PÓŁNOCNEJ AFRYCE (2)

T U N I S

WIELE podobieństw ma przebieg ostatniego kryzysu na terenie Tunisu do przedstawionych w poprzedniej części wypadków w Maroku*). Nic w tym zresztą dziwnego, istnieje bowiem szereg analogii zarówno w historii obu tych krajów, jak i w ich strukturze gospodarczej, społecznej i politycznej. Władza francuska na terenie Tunisu jest nieco dawniejsza niż w Maroku, formalnie bowiem datuje się od roku 1881, kiedy to Francja zawarła w Bardo układ z Tunisem, uzupełniony następnie w 1883 roku konwencją podpisaną w Marsa. Układami tymi Tunis przekazywał Francji suwerenność w zakresie międzynarodowym, zezwalał jej na utrzymywanie wojsk na swoim terytorium, wreszcie przyznawał prezydentowi Francji prawo zatwierdzenia wszystkich dekretów wydawanych przez beja (prerogatywa ta przekazana została następnie francuskiemu rezydentowi generalnemu w Tunisie). W zamian za to Francja zobowiązywała się ochraniać beja i jego dynastię oraz stać na straży pokoju i bezpieczeństwa wewnętrznego kraju.

Nędzne mieszkania tubylców

fot. CAF

Politykę Francji w Tunisie, podobnie jak i w Maroku, charakteryzowało stopniowe sprowadzanie tego kraju do rzędu kolonii. Istniejące w społeczeństwie tubylczym niezadowolenie z rządów francuskich znalazło swój wyraz w powstaniu w 1920 roku partii Destur (Konstytucja), która od początku miała charakter narodowy i występowała przeciwko władzy francuskiej. W 1933 roku partia rozpadła się na dwie frakcje: Vieux-Destur, opierającą się głównie na elicie religijnej i Neo-Destur, rekrutującą się przeważnie spośród studiującej młodzieży. Ta ostatnia odgrywa dzisiaj poważną rolę w walce ludu tunizyjskiego o wyzwolenie. W okresie powojennym jej wpływy wzrosły bardzo poważnie, a to wskutek wzmożenia tendencji wyzwoleńczych wśród ludności tubylczej. Na kongresie obu frakcji Destur, odbytym 23.8. 1946 w Marsa, uchwalono rezolucję, w której domagano się zniesienia protektoratu francuskiego i przyznania Tunisowi pełnej suwerenności oraz przystąpienia do Ligi Arabskiej. Rezolucja ta stała się wytyczną dla powojennej polityki tej partii.

Podobnie jak w Maroku, tak i tutaj władze francuskie starały się zaspokoić dążenia wyzwoleńcze ludności tubylczej jedynie zapewnieniami o swojej woli doprowadzenia Tunisu do pełnej niezależności i o chęci przygotowywania ludności do objęcia władzy itp. Jednakże polityka ta nie znalazła zrozumienia wśród „niewdzięcznej" ludności tunizyjskiej. Przeciwnie, do roku 1950 stale wzrastał ferment i niezadowolenie, a żądania rozszerzającej swe wpływy Neo-Destur stawały się coraz bardziej zdecydowane. Ostatecznie sprecyzował je 14 marca 1950 r. przywódca tej partii Burguiba. Streszczają się one w następujących punktach: przekazanie suwerenności w ręce tunizyjskie, utworzenie rządu tunizyjskiego z premierem powołanym przez beja, zniesienie urzędu rezydenta generalnego, usunięcie francuskiej policji oraz powołanie w wyborach powszechnych Zgromadzenia Narodowego dla uchwalenia konstytucji. Dalej podkreślono, że Tunis pragnie przyjaznej współpracy z Francją, jednakże kwestia jego przystąpienia do Unii Francuskiej będzie mogła być dyskutowana dopiero po uchwaleniu konstytucji.

To publiczne i stanowcze oświadczenie niewątpliwie nie było bez wpływu na dalszą politykę francuską, która jednak w ogólnej linii trzymała się nadal, jak zobaczymy, dotychczasowych wytycznych. Otóż nowomianowany rezydent generalny L. Perillier w czerwcu 1950 r. w przemówieniu radiowym zapowiedział wprowadzenie w Tunisie szeregu reform, polegających na dopuszczeniu większej ilości tubylców do wyższych stanowisk oraz zmianę w zakresie samorządu lokalnego. Na uwagę zasługuje fakt, że oświadczenie to spotkało się z niezwykle ostrym protestem mieszkającej w Tunisie kolonialnej burżuazji francuskiej, która uważała je za objaw polityki rezygnacji i która równocześnie domagała się, by została zachowana dotychczasowa proporcja w reprezentacji ludności francuskiej i tubylczej (1 : 1) oraz by nie dyskutować sprawy reform z nikim, kto by kwestionował suwerenność Francji w Tunisie. Przedstawiciele ludności tubylczej oświadczyli natomiast, że wypowiedź nowego rezydenta sprzeczna jest z wolą narodu i domagali się utworzenia gabinetu tunizyjskiego skupiającego w swym ręku rzeczywistą władzę.

Mimo jednak tych dwustronnych protestów, zgodnie z zapowiedzią Perilliera 17.8.1950 utworzony został rząd tunizyjski, w którego skład wchodziła równa ilość Francuzów i Tunizyjczyków. Premierem został Szenik, członek Neo-Destur, który oświadczył, że celem rządu jest uzyskanie niezależności przy współudziale Francji. W skład rządu wszedł również sekretarz generalny tej partii.

W JESIENI 1951 roku premier Szenik wraz z trzema ministrami udał się do Paryża dla przeprowadzania z rządem francuskim rozmów w sprawie zakończenia protektoratu, utworzenia czysto tunizyjskiego rządu i ogłoszenia wyborów powszechnych. Jednakże rząd francuski uznał te rozmowy za czysto informacyjne, nie mające doprowadzić do żadnych skutecznych wyników i zupełnie je zbagatelizował. W związku z takim postawieniem sprawy Szenik wydał oświadczenie, w którym stwierdzał m. in.: *„nie wymagamy chyba za dużo, by po 70-ciu latach próżnych wysiłków zastosować liberalną politykę do ludu, który nie jest mniej rozwinięty od ludów, które od dawna cieszą się już pełną suwerennością"*. W odpowiedzi rząd francuski 15.12.1951 r. oświadczył, że Francja odegrała w Tunisie tak poważną rolę cywilizacyjną, że nie może być obecnie wykluczona od udziału w rządzeniu tym krajem. Jest ona gotowa przystać na pewne reformy, pozostające jednak w zgodzie z jej misją. Oświadczenie to zostało w Tunisie uznane za odrzucenie propozycji Szenika.

W związku z tym przewodniczący Neo-Destur Habib Burguiba wydał oświadczenie prasowe, w którym m. in. czytamy: *„Odpowiedź rządu francuskiego kładzie kres eksperymentowi tunizyjskiemu. Eksperyment ten określić można jako próbę, by w pokoju i przyjaźni uzgodnić dążenia ludu tunizyjskiego do wolności z ogólnymi interesami Francji... Dziś jest już tego za dużo; w historii Tunisu przewrócona została jeszcze jedna karta, rozpoczyna się nowy rozdział. Odpowiedź R. Schumana otwiera okres ucisku i oporu z nieodłącznie towarzyszącymi mu łzami, strachem i nienawiścią"*.

W tym samym czasie wysłanych zostało do Nowego Jorku dwóch ministrów tunizyjskich celem przedłożenia skargi Zgromadzeniu Ogólnemu ONZ. Francja jednak natychmiast zażądała ich odwołania, stawiając to jako warunek kontynuowania rozmów na temat przekazania dalszych resortów w ręce tunizyjskie. Życzenie to jednak nie zostało spełnione. Wobec tego rezydent generalny zażądał od beja rozwiązania rządu Szenika. Ten jednak żądanie to odrzucił i ponadto publicznie potępił postępowanie władz francuskich w Tunisie.

W takiej sytuacji rezydent generalny wydał nakaz aresztowania Szenika i czterech innych ministrów i deportowania ich na południe kraju. Krok ten umotywował on tym, że premier od chwili objęcia władzy ani razu nie pojawił się u niego i nie informował się o jego instrukcje, że popierał rozruchy i demonstracje i że wysyłając skargę do ONZ położył kres 70 lat trwającej „polityce zaufania i współpracy". Usunięcie zaś tych, właśnie „nieodpowiedzialnych" elementów konieczne było do przywrócenia atmosfery zaufania, potrzebnej do wprowadzenia dalszych reform.

W trzy dni po tych aresztowaniach, 28.3.1952 r., bej pod presją powołał nowego premiera w osobie Eddin Bakusza, znanego ze swych sympatii pro-francuskich. Równocześnie doszedł on do porozumienia z rezydentem generalnym w sprawie reform. Mianowicie najpierw miała być zapewniona autonomia władzy wykonawczej i udostępnione Tunizyjczykom najwyższe stanowiska we władzach administracyjnych.

1-go kwietnia nowy premier na polecenie rezydenta podał do wiadomości publicznej projekt reform przedstawiony przez władze francuskie. Projekt ten miał być przedłożony do rozpatrzenia powołanej w tym celu mieszanej komisji francusko-tunizyjskiej. Wobec tego jednak, że w komisji tej nie zgodziła się uczestniczyć Neo-Destur, wskutek czego komisja nie reprezentowałaby opinii publicznej, rezydent generalny musiał z jej powołania zrezygnować.

Mimo to jednak prace nad projektem reform trwały nadal. Ostatecznym ich owocem była propozycja rządu francuskiego przedłożona w końcu lipca ub. r. bejowi do zatwierdzenia. Na zapoznanie się z nią i jej zatwierdzenie wyznaczono mu termin siedmiodniowy. W dniu, kiedy termin ten upływał, bej oświadczył, że nie miał jeszcze czasu do należytego zbadania propozycji rządu francuskiego. Musi bowiem powołać w tym celu ciało reprezentujące opinię publiczną, gdyż nie może on działać wbrew pragnieniom i dążeniom ludu tunizyjskiego.

Zaproponowane przez rząd francuski reformy sprowadzają się do następujących zasadniczych punktów. Założeniem ich jest, że Francja uznaje suwerenność beja (a nie ludu tunizyjskiego) i jej stosunki z Tunisem opierać się mogą jedynie na układach dwustronnych. Zanim będzie można przekazać tubylcom pełną władzę, każdemu ministrowi — Francuzowi dodany będzie pomocnik Tunizyjczyk niejako w charakterze praktykanta. Zasadniczą jednak cechą nowego systemu administracyjnego byłaby zupełna nieodpowiedzialność konstytucyjna ministrów. Jedynie pod względem legalności podlegaliby oni kontroli trybunału administracyjnego. Zważywszy, że wszystkie ważniejsze resorty pozostać miały w rękach francuskich, oznaczałoby to zupełnie wolną rękę dla władz francuskich. Wreszcie do wydawania ustaw uprawniony byłby jedynie bej działający za zgodą rezydenta generalnego. Ciałem doradczym beja byłaby rada złożona z równej ilości Francuzów i tubylców powoływanych przez władze, nie mające żadnego decydującego głosu, opinie zaś mogłaby wydawać jedynie w sprawach gospodarczych i finansowych.

Nic więc dziwnego, że w dwóch kolejnych oświadczeniach bej zmuszony był skrytykować nie tylko same proponowane reformy, ale całą politykę francuską w Tunisie. W liście do prez. Auriola stwierdzał on we wrześniu ub. r., że rząd francuski najwidoczniej nie tylko nie ma zamiaru wprowadzić rzeczywiście demokratycznych reform od dawna szumnie zapowiadanych, lecz że ponadto dopuszcza się kroków najzupełniej nielegalnych. Ani bowiem konwencja z Marsa, ani traktat z Bardo nie upoważniają rezydenta generalnego do aresztowania premiera rządu tunizyjskiego, którego on, bej, nie pozbawił ani swojej inwestytury, ani swojego zaufania. W następnym oświadczeniu z 12.11. 1952 określił on proponowane reformy, jako gwałcące suwerenność Tunisu i opóźniające demokratyzację jego ustroju. Szczególnie ostro przeciwstawił się wprowadzeniu nieodpowiedzialności ministrów, twierdząc, że w przeciwnym razie Tunis stałby się ostatnim państwem na świecie, gdzie nieodpowiedzialność egzekutywy podniesiona jest do rzędu instytucji. Powyższa krytyka projektowanych reform dokonana została przez beja w oparciu o wyczerpujące memorandum rady notabli, ad hoc powołanej przez beja, a mającej reprezentować tunizyjską opinię publiczną.

JEDNAK rząd francuski nie dał za wygraną. W nocie będącej odpowiedzią na list beja do prez. Auriola ostro skrytykował on stanowisko beja, zrzucając na niego całą odpowiedzialność za hamowanie rozwoju demokratycznych instytucji w Tunisie i w sposób stanowczy zażądał od beja zmiany jego stanowiska. Następnie 15.12 rezydent generalny w ustnej rozmowie z bejem wymusił na nim zgodę na podpisanie dwóch pierwszych dekretów wprowadzających proponowane reformy. Odmowna decyzja beja wywołała bardzo gwałtowną krytykę ze strony rządu francuskiego, który natychmiast zresztą przedsięwziął dalszą akcję. 20.12 rezydent generalny poinformował beja, że jeżeli odmawiać będzie podpisania wspomnianych dekretów, to powołana zostanie Rada Regencyjna, która przejmie jego uprawnienia w zakresie podpisywania i zatwierdzania dekretów. Groźba ta okazała się skuteczna i bej tego samego dnia podpisał odnośne dekrety. Jednakże przedstawiciele Neo-Destur oświadczyli, że wymuszone w ten sposób decyzje nie wiążą ani samego beja, ani ludu tunizyjskiego. Ponadto ostro skrytykowali oni metody stosowane przez władze francuskie, stwierdzając, że stoją one w jaskrawej sprzeczności z rezolucją Zgromadzenia Ogólnego ONZ z 12.12. 1952, zalecającą zainteresowanym stronom rozwiązanie sprawy niezależności Tunisu w drodze dwustronnych rozmów, prowadzonych w atmosferze wzajemnego zaufania i dobrej woli. W ten sposób załamywała się walka legalna, tocząca się w ramach istniejącego systemu o niepodległość Tunisu.

*

Na podstawie powyższego zestawienia faktów dotyczących legalnej walki ludów Północnej Afryki o niezależność wytworzyć sobie można obraz działających tam sił i zarysowujących się tendencji politycznych. I tak naprzeciwko siebie stoją z jednej strony władze francuskie, reprezentujące imperializm kolonialny w najczystszej formie, z jego pogardą dla ludów kolonialnych, z jego fałszem i zaprzeczeniem zasad demokratycznych. Z drugiej zaś strony stoją ludy tubylcze, które są w pełni uświadomione politycznie i narodowo i zdecydowane walczyć o niepodległość. Mimo pozornej nierówności toczącej się walki i niedającego się przewidzieć dalszego przebiegu wypadków, można być spokojnym o jej wynik. Nieuchronnie bowiem zbliża się kres władztwa kolonialnego.

Masowe aresztowania na ulicach miast

fot. CAF

*) patrz J. Pilski, Maroko. Dziś i Jutro nr 13, (383).

Izabella KOPEĆ

Ich będzie zwycięstwo

„Internowani mogą otrzymywać listy, paczki, gazety; mogą także być odwiedzani przez rodziny. Żaden z nich nie jest zmuszany do pracy; wykonują wprawdzie drobne czynności gospodarcze, ale tylko dobrowolnie.

Pielęgniarka stale przebywająca na terenie obozu dokonuje mniejszych zabiegów leczniczych i opiekuje się izbą chorych. Codziennie rano do obozu przybywa lekarz, który udziela porad.

Każdy internowany otrzymuje dostateczną ilość wody do picia. W specjalnym pomieszczeniu zainstalowano prysznice, a raz w tygodniu wszyscy internowani biorą kąpiel. Wtedy także dezynfekuje się ich łóżka i ubrania proszkiem D.D.T. Spacery w obrębie całego obozu są dozwolone.

Dzienna racja żywnościowa składa się z: 500 g chleba, 100 g mięsa, 200 g suszonych jarzyn 250 g kartofli, 50 g oliwy, 25 g cukru, 250 g pomidorów i marchwi, 100 g cebuli; sól i inne przyprawy są również wydzielane w dostatecznej ilości.

Razem 3061 kalorii dziennie".

Każdy, kto by przypuszczał, że przytoczyłam tutaj fragment regulaminu dla wzorowego obozu jeńców wojennych, byłby w poważnym błędzie, jest to bowiem wyjątek z artykułu, jaki ukazał się w dzienniku „La Presse", oficjalnym organie generalnego rezydenta Francji w Tunisie. Został on opublikowany w związku z protestem złożonym przez przedstawicieli partij komunistycznej i partii Neo-Destur dotyczącym fatalnych warunków, jakie panują w obozach dla internowanych patriotów tuniskich. Artykuł ten miał na celu przekonanie francuskiej opinii publicznej, że los więźniów politycznych w Tunisie nie jest wcale tak zły, jak go niektórzy tendencyjnie przedstawiają, że internowani traktowani są w sposób ludzki, że mają wszystko, co im potrzeba do życia i że nawet, w obrębie samego obozu, cieszą się pewną swobodą.

Tak wygląda sytuacja w świetle oficjalnego „wyjaśnienia" generalnego rezydenta Francji w Tunisie. A jak jest naprawdę?

Społecznie postępowy, katolicki tygodnik francuski „La Quinzaine" umieścił cały szereg listów przemyconych przez więźniów politycznych z różnych obozów znajdujących się na terenie Tunisu. Oto co pisze jeden z nich przebywający w obozie Ben Gardane:

„Donoszę wam, że nasze położenie w Ben Gardane jest krytyczne; jeśli sytuacja ta potrwa dłużej, wszyscy zginiemy z braku wody i z powodu straszliwych warunków higienicznych. Woda, którą przywożą nam trzy razy dziennie, jest słona, nie nadaje się do picia i jest szkodliwa dla zdrowia. Większość z zatrzymanych choruje na dezynterię.

...Muszę tu jeszcze dodać, że beczki, które służą nam jako W.C., przez wiele dni nie są opróżniane. Od czasu mego przybycia, to jest od dnia 15 czerwca (list był pisany 1 lipca 1952 r. — dopisek mój), *były one oczyszczane tylko jeden raz... Dzisiaj jeden z więźniów, lekarz, przygotował raport, w którym podkreśla bardzo zły stan zdrowia internowanych spowodowany brakiem wody, awitaminozą i fatalnymi warunkami higienicznymi. Zażądaliśmy przeniesienia obozu na inne miejsce, gdzie mielibyśmy pod dostatkiem wody do picia".*

Inny więzień przebywający w obozie w Teboursouk pisze:

„Zatrzymanych umieszczono w dawnym domu poprawczym. Siedzą po trzech w celach o wymiarach 2 m 60 cm długości i 1 m 80 cm. szerokości. Powietrze dopływa przez mały, zakratowany otwór w dachu. Cele nigdy nie są zamiatane ani dezynfekowane. Internowani śpią na ziemi, pod starymi kocami, na garstce zdeptanej słomy. W nocy nikogo nie wypuszczają z cel, nawet chorych i starych obowiązują te same przepisy.

Jedynym pożywieniem jest podawana trzy razy dziennie zupa, w której czasem znajduje się jakieś ochłapy mięsa. Zatrzymani nie dostają ani jarzyn, ani owoców.

Podwórze, gdzie odbywa się spacer, jest bardzo małe; z trudnością może się na nim pomieścić 350 osób. Spacer w tej ciasnocie i wśród rozkładających się wszędzie odpadków jest taką męką, że internowani wolą często pozostawać w swoich celach.

Wszystkie te materialne braki są jednak niczym wobec potwornego traktowania zatrzymanych. Wymyślania, pogróżki i ordynarne zachowanie są na porządku dziennym. Gdy więźniowie ogłosili głodowy strajk protestacyjny, 13 spośród nich kompletnie odizolowano. Długo nie było wiadomo, co się z nimi stało, potem jednak dowiedzieliśmy się, że skierowano ich na południe, do obozu w Ben Gardane, gdzie temperatura w lecie sięga 70° w cieniu, a ludność nękają straszliwe burze piaszczyste i stały brak wody. Wśród skazanych na to zesłanie znajdował się były żołnierz armii francuskiej, ranny w czasie wojny, który pięć lat spędził w niemieckim więzieniu..."

Dopiero w świetle tych listów widać jasno, jak wygląda naprawdę cywilizacyjna misja rządu francuskiego w Tunisie. Najlepszych synów tego kraju, tych, którzy odważnie występują przeciwko uciskowi kolonialnemu, zamyka się w więzieniach i skazuje na straszliwe warunki egzystencji. Równocześnie szeroko głosi się, że naród tunizyjski nie dorósł jeszcze do tego, aby mógł samodzielnie zarządzać swym krajem, że wciąż jeszcze potrzebuje on pomocy Francuzów.

Warto jednak zastanowić się, co zrobiono do tej pory, aby podnieść poziom kulturalny tubylców i czy podjęto jakikolwiek wysiłek, aby przygotować młodzież tego kraju do pełnienia odpowiedzialnej funkcji, jaką jest kierowanie państwem?

Wspomniany wyżej tygodnik „La Quinzaine" w artykule pod wymownym tytułem „540 szkół i jeden żandarm na dwóch nauczycieli" omawia położenie młodzieży tunizyjskiej Z artykułu tego dowiadujemy się, że tylko 20% dzieci tubylczych uczęszcza do szkoły powszechnej, z tych zaś tylko jedno dziecko na 45 uczy się dalej w szkole średniej. Spośród 134 młodych Tunizyjczyków tylko jeden kończy jakąś szkołę techniczną lub zawodową. Stan ten jest bardzo dogodny dla przemysłowców francuskich, którzy zainstalowali swoje kapitały w Tunisie, niewykwalifikowani bowiem tubylcy stanowią pożądaną tanią siłę roboczą.

W Tunisie zresztą przemysł jest bardzo słabo rozwinięty. Kolonizatorzy wolą raczej wywozić naturalne bogactwa tego kraju, a potem zalewać rynek tandetą wyprodukowaną we Francji. Brak większych ośrodków przemysłowych powoduje nadmiar rąk do pracy, a co za tym idzie — bezrobocie. Jak wskazuje statystyka, na 7 młodych Tunizyjczyków tylko dwóch może liczyć, że otrzyma pracę. W konsekwencji prowadzi to do niesłychanego wprost wzrostu przestępczości wśród młodzieży, którą nędza i głód popycha na drogę zbrodni.

Wszystkie te fakty jasno wskazują, że system kolonialny zamiast zapowiadanego dobrobytu i podniesienia poziomu kulturalnego przynosi narodowi tunizyjskiemu nędzę, ciemnotę i zacofanie Nic więc dziwnego że jesteśmy dzisiaj świadkami coraz bardziej zaostrzającej się walki przeciwko panowaniu Francuzów w Afryce Północnej. Maroko i Tunis to tylko pojedyncze odcinki szerokiego frontu, który objął już wszystkie ludy kolonialne. Ludy te bronią swych słusznych praw i dlatego muszą odnieść zwycięstwo w walce, która przyniesie im prawdziwe wyzwolenie narodowe i społeczne.

Paweł Włodkowic

wek wyżej wymienionych", przedstawia nasz prawnik do rozważenia kwestie stosunku władzy papieża i cesarza do pogan.

Nie wolno czynić krzywdy niewiernym, którzy chcą żyć w spokoju między chrześcijanami; grzeszy panujący, który ich łupi, papieżowi nie wolno również nic im zabierać, do Żydów także należy się odnosić z tolerancją, Bóg stworzył wszystko wspólne dla wszystkich; słońce świeci nie tylko nad dobrymi, lecz i nad złymi. Nakazy „nie zabijaj, nie kradnij" zabraniają wszelkiego rozboju i gwałtu. Nie wolno się zasłaniać tradycją imperium rzymskiego; władza wielokrotnie ulegała zmianie, nie należy wypowiadać wojny tym, którzy kiedyś byli pod wpływem rzymskim, aby ich na nowo na mocy przeszłości opanować.

Ponieważ papież jest następcą Chrystusa, ma pieczę nad całą ludzkością, również nad niewiernymi Rozumne stworzenia powstały na chwałę Bożą, stąd papież może zlecić poganom wpuszczenie do ich ziem głosicieli Ewangelii, jakkolwiek nikt nie powinien być zmuszany do przyjęcia wiary wbrew swojej woli. Jedyny wyjątek robi Włodkowic co do Ziemi Świętej. Papież winien czynić starania, by ją odzyskać, a to z tego względu, że jest uświęcona życiem Chrystusa.

Cesarz nie ma mocy zajmowania ziem niewiernych, nie mają więc ważności nadania cesarskie dla Krzyżaków. Zakon walczył ze spokojnymi poganami wbrew wszelkiemu prawu; bliźnimi naszymi są i wierni, i niewierni.

Nie należy nawracać siłą, takie nawracanie ma interes ludzki na oku. Źle robią ci, którzy pomagają w tego rodzaju walce Każda wojna powinna mieć następujące względy na uwadze: osoba (świecka, bo duchowny w zasadzie nie może walczyć), rzecz (obrona), przyczyna (konieczność, pokój musi być wynikiem wojny), duch (nie nienawiść lub żądza pomsty), czas (święta zakazują walki). Grzeszą Krzyżacy urządzając najazdy w święta Matki Boskiej, bo przestępują nakaz święcenia dni świątecznych dla żądzy panowania. Poddani krzyżaccy pomagający Zakonowi w tych wyprawach popadają w grzech śmiertelny, bo bardziej należy słuchać Boga niż człowieka; nie tłumaczy ich nieznajomość prawa Bożego i naturalnego; dowódca odpowiada nie tylko za siebie, ale i za swych żołnierzy.

Ziemie zdobyte w takiej wyprawie nie stają się własnością zdobywcy; nadużycia i szkody muszą być wynagrodzone.

W potrzebie wolno użyć pomocy niewiernych, jeśli się prowadzi wojnę sprawiedliwą — obronną. Należy wyświadczać sprawiedliwość niewiernym, gdyż inaczej wolno byłoby chrześcijanom dopuszczać się rozbojów nad niewiernymi.

WŁODKOWIC nie poprzestał na słowach. Oto przed zgromadzeniem soborowym zjawiła się delegacja Żmudzinów. *„Dawno już zostalibyśmy katolikami, gdyby nie Zakon, on to bowiem powodowany chęcią zagrabienia naszych ziem stawiał nam nieprzeparte zapory do poznania prawdziwej wiary. Ci z naszych braci, którzy zbliżyli się do Zakonu, poznawszy go, woleli zemrzeć aniżeli przyjąć chrzest. Posiadłszy ziemie nasze, obrócili nas w niewolników, odebrali nam wszystką majętność, wyznaczywszy na utrzymanie mały dział roli, tak że musieliśmy żebraniną, kradzieżą i rozbojem zdobywać sobie środki do utrzymania życia. Tak wszakże nie powinni postępować rycerze ani zakonnicy katoliccy... W czasie swego panowania ani jednego kościoła nie postawili na Żmudzi, ani jednego kapłana nie przełożyli nad nami,*

Dokończenie ze str. 3

tak że jasno poznaliśmy, iż nie o duszę naszą i zbawienie, lecz o zyski szło Krzyżakom" (wg. A. Prochaski). Kiedy się słyszy skargę Żmudzinów, jakże prawdziwe wydają się słowa w. mistrza Henryka von Plauen, który powiedział w chwili rozgoryczenia *„zbestwiona horda krzyżacka niegodna była istnienia i... lud pruski poczyta sobie za szczęście uwolnić się spod ich władzy"*.

Wywody Włodkowica i akcja poselstwa polskiego musiała się spotkać z reakcją ze strony Zakonu. W składzie przedstawicielstwa krzyżackiego nie było nikogo, kto by potrafił wystąpić z repliką na memoriał Włodkowica, odpowiedzieć jednak wypadało i należało. Poseł Zakonu wobec tego zlecił napisanie odpowiedzi dominikaninowi Janowi Falkenbergowi. Falkenberg posiadał odpowiednie wykształcenie, miał poza sobą autorstwo kilku pism, co prawda niezbyt mu się szczęściło w jego poprzednich wystąpieniach, zdecydował się jednak dać odpowiedź. Napisał dzieło „O istocie władzy papieskiej i cesarskiej", które było wymierzone przeciw wywodom naszego prawnika.

Należy stwierdzić, że traktat Falkenberga — abstrahując od poglądów tego autora — nie był na poziomie: obok bowiem fałszów historycznych dał się Falkenberg unieść szowinizmowi i uczuciu nienawiści do Słowian, zamiarem jego było poniżenie narodu polskiego i jego króla. Broni on podważonej przez naszego ambasadora władzy cesarskiej, wychodząc z założenia, że cały świat winien być posłuszny cesarzowi, którego władzy papież nie ma prawa stawiać żadnych tam. Tak więc cesarz może rozkazywać i niewiernym oraz zajmować ich kraje. Zakon jest dobroczyńcą Polski, a nie odwrotnie, gdyż Krzyżacy własną piersią bronią Polaków przed napadami Prusów. Wojnę z niewiernymi prowadzi Zakon z wiedzą i poparciem cesarza i papieża, jest więc w prawie zająć ziemie przez siebie zdobyte. Polacy i ich władcy są fałszywymi chrześcijanami, zresztą współpracują z poganami i schizmatykami, dlatego też i oni, i ich sprzymierzeńcy zasługują na karę wieczną. Zasługują też na utratę królestwa i wszystkich swych majętności. Falkenberg używa też demagogicznych argumentów, gdy mówi, że zabójcy św Stanisława wszystkim grożą podbiciem, a Witold — syn szewca — zapowiada, że konia swego napoi w Renie.

Sam traktat Falkenberga nie sprawiłby tyle zamieszania, ile dokonało drugie jego pisarskie wystąpienie, którym była Satyra wymierzona przeciw Polsce i jej królowi, utwór na tak niskim poziomie, że aż dziw bierze, iż autor na coś podobnego się odważył. Oczywiście Satyra nie była przedłożona soborowi, ale pokątnie rozpowszechniana dostała się i do rąk polskich. Mimo, że się nie dochowała, z późniejszego odwołania jej przez Falkenberga i z innych przekazów możemy zorientować się w jej treści. Tak mówi o niej Prochaska: *„Owładnął* (Falkenbergiem) *fanatyzm narodowościowy, skutkiem czego odczuł do tego stopnia klęskę Zakonu, że poniża się do najprostszych obelg, do gorszących i płaskich słów i porównań, do kłamliwych i oszczerczych odezw, wreszcie do szkalowań i buntowniczych haseł, radby cały świat zachęcić, zagrzać i rozpalić przeciwko Jagielle i jego Koronie, fautorom Litwy pogańskiej i Rusi, przeciw nienawistnym heretykom, a nawet psom bezwstydnym, jak nazywał Polaków, przedstawiając ich jako apostatów, a unię jako apostazję*

— *Obowiązkiem chrześcijańskich książąt jest połączyć się przeciwko odszczepieńcom, a ci co obowiązku tego zaniedbają, nie unikną kary wiecznej. Zabijać Polaków i ich bożyszcze Jagiełłę jest większą zasługą aniżeli wojna z poganami — a sprzymierzeńcy Polaków, o ile nie poszli na potępienie wieczne bez rozgrzeszenia papieskiego, absolucji otrzymać nie mogą. Za dzieło zniszczenia unii obiecuje Falkenberg monarchom i rycerstwu chrześcijańskiemu żywot wieczny, za zaniechanie karę wieczystą, dowodząc, że obowiązkiem ich jest zbroczyć się we krwi wrogów chrześcijaństwa, których należało ukarać haniebną śmiercią na szubienicy".*

Traktat Falkenberga spotkał się z repliką ze strony Włodkowica; przedłożył on pismo pt. „Traktat o Zakonie Krzyżackim i wojnie Polaków przeciw wymienionym braciom". W piśmie tym autor właściwie powtarza argumenty swego pierwszego wystąpienia. Podkreśla jednak konieczność opieki papieża nad niewiernymi, gdyż i oni należą do owczarni Chrystusowej. Zastanawiając się nad sprawą władzy cesarskiej stwierdza, że istnienie jednej monarchii byłoby ideałem. Tak jednak nie jest, ludzkość jest podzielona na wiele państw, w obecnym więc stanie jedna monarchia byłaby tylko zgubna dla ogólnego dobra. Cesarstwo nie ma uzasadnienia prawnego, stan faktyczny jest też inny, wobec tego i władza cesarska nad narodami jest fikcją. To rozumowanie Włodkowica miało na celu obronę suwerenności narodowej Polski i położenie tamy imperialistycznym i kolonizacyjnym dążeniom Cesarstwa Niemieckiego i jego sprzymierzeńcom — przede wszystkim Krzyżakom.

Inaczej postąpiono z Satyrą. Na początku wypada zaznaczyć, że może zbyt poważnie odniesiono się ze strony polskiej do tego paszkwilu; przyczyną było urażenie godności narodowej. Poselstwo polskie zażądało ukarania Falkenberga, podnosząc jego wystąpienie do głoszenia herezji, czym nie było, a po prostu niepoczytalnym wyskokiem. W rezultacie jednak uzyskano zwycięstwo. I zakon dominikański i papież potępili Falkenberga, odwołał on swoją Satyrę i został wtrącony do więzienia, z którego wypuszczono go dopiero za zezwoleniem Jagiełły. Godne jest podkreślenia, że, mimo iż Zakon wypierał się związków między sobą a napisaniem Satyry, Falkenberg wyznaje w odwołaniu, iż pismo swe ułożył na zlecenie pewnych ludzi, kto zaś mógł być w tym zainteresowany poza Krzyżakami,

Sobór nie załatwił sporu polsko-krzyżackiego, bo z istoty swej nie mógł tego dokonać. Na innym polu trzeba było te sprawy regulować, kilkakrotnie też jeszcze Włodkowic występował w procesach polsko-krzyżackich; ostateczne rozwiązanie nastąpiło później, na polu bitwy, kiedy po długoletnich zmaganiach Kazimierz Jagiellończyk tę kwestię rozstrzygnął.

Co jednak dało wystąpienie Polski w Konstancji? Stwierdzić należy z całą stanowczością, że osiągnęliśmy dużo. Tezy Włodkowica położyły kres idei istnienia Zakonu Krzyżackiego, świat poznał prawdziwe oblicze tych *„łotrów znaczących się krzyżem"*, jak określa Krzyżaków Długosz. Włodkowic ukazał przed zgromadzonymi fikcję cesarstwa, roszczącego sobie prawo do władania światem. Najważniejszym zaś punktem było podkreślenie, że wszyscy ludzie są bliźnimi, a religia Chrystusowa, która jest urzeczywistnieniem miłości, nie boże być szerzona przy pomocy rozlewu krwi i pożogi, bo *„nie czyni się zła, by osiągnąć dobro"*.

Tadeusz Brzostowski

Mikołaj BIESZCZADOWSKI

Spór o „Złodziei rowerów" albo „Cud w Mediolanie"

Mikołaj: — Chętnie przyjmuję propozycję rozmowy na temat współczesnych postępowych filmów włoskich — tylko o jedno proszę — nie będziemy mówili o nadzwyczajnej inwencji reżyserów i znakomitej grze aktorów, niezwykłych efektach montażu i dziwnej czystości zdjęć. Nie mówmy o tym choćby dlatego, że, po

Groteska, deformacja, symbole — charakterystyczna scena z „Cudu w Mediolanie"

Fot. „Film Polski"

pierwsze, nasza rozmowa ma charakter dyletancki.

Bogusław: — A po wtóre interesuje nas jeden szczególnie problem: Sprawa zdumiewającego powodzenia tych filmów. Bo pomyśl: film włoski nie miał żadnej prawie tradycji. Pojawia się nagle i od razu wydaje — jeśli mi pozwolisz na styl uroczysty — arcydzieła.

M. — Jakieś tradycje jednak były — ale chyba nie warto się rozwodzić nad eksperymentami z okresu filmu niemego, ani nad produkowanymi później niezdarnymi naśladownictwami amerykańskich, bezideowych przebojów.

B. — Czemu więc przypiszesz tajemnicę rozkwitu współczesnej sztuki filmowej we Włoszech? Bo, jeśli u względnimy zniszczenia wojenne — trudną sytuację ekonomiczną kraju —

M. — warto wziąć pod uwagę styl, jaki wybrali postępowi filmowcy włoscy dla przekazania prawdy o swoich czasach.

B. — Prawda o czasach. To brzmi dostojnie. A styl, o którym mówisz, to oczywiście realizm?

M. — Nie inaczej.

B. — Realizm — realizm. Ale cóż w końcu znaczy ten termin tak rozmaicie interpretowany i używany przy tylu zupełnie nieoczekiwanych okazjach. Zresztą w dziedzinie filmu Włosi wcale go nie wymyślili. Kontynuują tylko i udoskonalają z talentem zdobycze poprzedników. Pozwól, że przypomnę niektórych: Griffith, Pudowkin, Eisenstein.

M. — Jednak trudno zaprzeczyć, że rodzaj realizmu włoskiego różni się tak bardzo od stylu tamtych wielkich realistów, że z trudem tylko uświadamiamy sobie te filiacje. Rossellini, de Sica, Germi — to przecież cała szkoła, której radykalizm społeczny głośny jest w świecie.

B. — Sądzę, że o różnicy wyłącznie decyduje tu nowość formy. To, co uderza przede wszystkim — co wydaje się być tak odkrywcze i płodne — to chyba umiejętność ukazywania nieoczekiwanego obrazu życia poprzez egzotykę codzienności, z drapieżnym wyczuleniem na fascynujący urok rzeczy szarych i spraw zwyczajnych. Ani na chwilę nie pojawia się w tym filmie jakaś konwencjonalna, badeckaerowska koncepcja piękna. W „Rzymie — mieście otwartym" tylko płaski dach i wiecha palmy za murem przypominają, że jesteśmy na Południu. A jakże nieoczekiwany jest widok Wiecznego Miasta z okien pociągu, wiozącego sycylijskich emigrantów z „Drogi Nadziei". Takie jak wszędzie brudne dworcowe zabudowania — tory, baraki, pejzaż rozpaczliwej zwykłości.

Zwykli ludzie zamiast aktorów filmowych, zamiast dekoracji autentyczne ulice i wnętrza. Zgodzisz się ze mną, że przedtem nigdzie tak tego nie wydobyto.

M. — Zgodzę się — ale podkreślam, że to jest tylko jeden ze sposobów podrzędnych — służących zaakcentowaniu wykazywanych spraw. O realizmie włoskiej szkoły decyduje wybór tematu, to co najoczywistsze, najbardziej dotkliwe: walka o życie — i chleb, pogoń za pracą; dlatego pokazano nam Rzym nie marmurowy — ale ludzki, pełen codziennych, tak straszliwie konkretnych problemów. — Rzym daleki od legendy.

Ale wydajesz się niezbyt zbudowany tymi dowodzeniami. — Jakaż będzie twoja próba wyjaśnień?

B. — Nie zapominaj, że rozważamy zagadnienia przynależne i podległe estetyce filmowej albo krótko — estetyce. Znam utwory, nacechowane tym wszystkim, o czym mówiłeś, a nie mogące liczyć nawet w części na rozgłos i uznanie, jakim się cieszy film włoski. Wydaje się, że sekret tkwi w sposobach demonstrowania konstrukcji wciąż niezmiennie tajemniczego losu człowieka. Odwieczne zagadnienia tragicznych zawikłań, kapryśnego przypadku, nieszczęścia. Dlatego w filmie włoskim spotyka się tak wiele różnorodnych sposobów deformowania obrazu rzeczywistego świata, jakąś patetyzację życia — nawet symbole.

M. — Jednym słowem przebrzmiałe nawroty formalizmu. To stanowczo nie wystarcza.

B. — To jednak uderza. Przypomnij sobie, proszę, niezwykły, a tak źle oceniony film o złym polskim tytule „Człowiek bez jutra". Tytuł włoski o ileż bardziej jest ironiczny, o ileż smutniejszy — „Wiele marzeń na autostradzie"... Tutaj ucieczka skradzionym samochodem przed pościgiem policji pozorowana jest idylliczną wycieczką niedzielną za miasto. Czyż efektu nie osiągnięto właśnie dzięki zagęszczeniu nonsensu aż do granic tragicznej groteski?

A podróż chłopów sycylijskich szukających pracy czyż nie narasta w „Drodze Nadziei" do rozmiarów jakiejś współczesnej epopei? Podobnie dom poprawczy dla bezdomnych z „Dzieci ulicy" przemienia się w jakiś wielki symbol udręki życia. Najmocniej te elementy przemówią w „Złodziejach rowerów". Tutaj jesteśmy na szczytach. Przypomnij sobie, proszę, motyw roweru przewijający się poprzez akcję filmu. Ten rower lśni niby kusząca maszynka szczęścia, bliski i znikający natychmiast, gdy wyciągnąć rękę.

Nigdy nie zapomnę tej przejmującej sceny, kiedy ze splątanego wnętrza miasta, jak z głębin kamiennej puszczy wynurza się Złodziej. Łotrowski uśmiech i profil pod daszkiem czapki drapieżny, jak dziób jastrzębia — profil wiecznego zła.

M. — Chcesz więc ni mniej ni więcej wmówić we mnie, że to diabeł skradł rower biednemu człowiekowi na ulicach Wiecznego Miasta? A więc dziwność losu, odwieczne zło, tragiczna groteska...

Stąd już krok tylko...

B. — Stąd już krok do „Cudu w Mediolanie". Właśnie ten sławny film Germiego najpełniej reprezentuje mój pogląd. Jest oczywistą konsekwencją tych tendencji irracjonalnych — udziwniających świat konkretu — a bynajmniej nie kopiujących go wiernie. Wszystko w tym filmie znajdziesz: symbole, deformacje, drwinę aż po czysty nonsens włącznie — cudowność i dziwaczność. Biedacy siedzący okrakiem na miotłach, niczym czarownicy z bajki, ulatują do nikąd, w iluzoryczny kraj filmowej abstrakcji.

M. — Pozwól mi na szczerość. Twoja interpretacja jest nie tylko fałszywa, gorzej — przewrotna. Właśnie w ten sposób na Zachodzie próbuje się wyjaśniać powodzenie filmu włoskiego — byle najdalej od zagadnień aż parzących swą treścią społeczną — od zagadnień, w których film włoski tkwi najgłębiej, które przecież wyłącznie decydują o jego wadze. Bawi mnie zresztą ten zachwyt „czystych" estetów. „Złodzieje rowerów" na przykład, ten klasyczny film o proletariackiej nędzy, był nagradzany na festiwalach, lata całe nie schodził z ekranów Paryża. Takie paradoksy powtarzają się zresztą nieraz w dziejach sztuki buntowniczej — ów podziw objawiany przez mijające formacje społeczne dziełu, które im grozi, które je przekreśla. Niegdyś, w przeddzień Wielkiej Rewolucji tak samo oklaskiwano komedie Beaumarchais, które niemiłosiernie szydziły właśnie z oklaskujących, z ich klasy i obyczaju.

B. — Więc odrzucasz zdecydowanie urok formy; cóż pozostanie — czy tylko ów niezdefiniowany, właściwie nieuchwytny realizm?

M. — Zostanie sprawa człowieka. Film włoski w sposób bardziej drastyczny, głosem bardziej donośnym niż którakolwiek może inna ze sztuk woła o krzywdzie człowieka, ginącego w zapadniach nowoczesnych systemów kapitalizmu. Poprzez plątawisko narastających wciąż sprzeczności, pośród coraz jaskrawszych konfliktów klasowych i ekonomicznych — rozstrzyga się sprawa ludzkich losów to czy się walka dramatyczna, ale nie irracjonalna. To nie diabeł skradł rzymskiemu bezrobotnemu Antonio rower — jedyną nadzieję znalezienia pracy — zabrał go inny nędzarz, tak samo jak Antonio zaszczuty przez rozpacz. — I to nie rysy epickości tak nas wzruszają, gdy oglądamy dzieje sycylijskich chłopów wędrujących po lepszy los do Francji. Męczeńska śmierć Manfrediego nie została sfilmowana dla formalistycznego eksperymentu, aby sprawdzić na ekranie efekty Grand Guignolu — i wcale nie dla udziwniania obrazu losów ludzkich prosty ksiądz katolicki — Don Pietro — błogosławi umierającemu komuniście.

Z dzieł włoskiego filmu bije przejmujące współczucie dla ludzkiego cierpienia, solidarność z nędzarzami, z wszystkimi pokrzywdzonymi, z tymi, których się spycha na dno, protest przeciw tak wielorakim formom egoizmu społecznego. I wedle mnie, to jest jakoś ogromnie chrześcijańskie — właśnie ten stłumiony głos miłości. Nie zawsze dość wyraźny, aby porwał, ale dość mocny, aby niepokoić i wzruszać. Sądzę, że to jest bezcenne — wielkie.

B. — Jesteś — jak to mówią, zaangażowany uczuciowo po stronie włoskiego filmu. A zakochanym trudno o chłodną analizę uroków przedmiotu miłości. Zresztą — i ja, jeśli chodzi o „Złodziei"...

M. — To bardzo proste. „Złodzieje rowerów" są najwyższym osiągnięciem szkoły włoskiej, a może i jednym z największych osiągnięć filmu powojennego w ogóle, i stąd bogactwo przeżyć, jakich dostarczają, możliwość różnych, nieraz zupełnie sprzecznych interpretacji. Jedno jest pewne: mieliśmy rzadkie szczęście oglądać arcydzieło. — Pochylmy głowy.

Podła śmierć

(Dokończenie ze str. 6)

mi kamień szczególnej wielkości i ważyła go w ręce. Jakiś chłop pochwycił ją za przegub: „Daj pokój, nie czas już".

Zrobiło mi się w ustach sucho i niesmacznie. Stałem blisko, stałem między nimi, a przecież byłem daleko.

A potem spojrzałem na trupa, na zacięte twarze ludzi. Już zbyt długo trwał ten stan.

I nagle krzyknęło coś we mnie potężnie: „Hurra!" Serce zaczęło odtańcowywać swój góralski, narodowy taniec i słowa „patriotyzm", „Ojczyzna" plątały się we mnie ze sobą, zlewały się w jedno jaskrawe pojęcie i wyrastały w kształt sękatej ciupagi i garbatego nosa.

Moja ręka zniżyła się ku ziemi i zatrzymała w połowie. Od kilku minut trwało już dokoła milczenie i ucichły grudy.

*

Nieruchoma dotychczas kobieta wstała nagle i puszczona głowa Wacka rozciągnęła się na ziemi, a zdarta broda podskoczyła w górę. Czapka zsunęła się z twarzy i wówczas, po raz pierwszy, zobaczyłem wodza. Twarz... nie, nie będę mówił o twarzy. Nie będę mówił już więcej o trupie.

Kobieta (która okazała się siostrą zdrajcy, siostrą, która nienawidziła brata przez cały czas jego „kariery") odeszła, nie oglądając się za siebie, odprowadzana spojrzeniami, które już nic nie znaczyły. Krąg ludzki począł rzednąć, wreszcie rozeszli się wszyscy. Wacław Krzeptowski pozostał sam.

Potem go zabrali.

Wracałem do domu, szedłem w nową i pierwszą wiosnę wyzwolenia. Niosłem masło.

Wkrótce minąłem górali i zrównałem się z tym w turystycznej czapce, który powstrzymał rękę mścicielki obciążoną grudą. Ostatnia chwila: musiałem coś powiedzieć. Międliłem pod językiem coś ciepłego o biednej ojczyźnie i jej krzepkich obrońcach. Byłem gotów w imieniu ojczyzny wyrazić wdzięczność i zobowiązanie na ręce tego oto przedstawiciela tężyzny i siły witalnej narodu. — „A wy, gazdo, dokąd"? — zapytałem nagle. Odpowiedział, że idzie na dół, do domu. Spoglądałem z boku na jego twarz i próbowałem ustalić jej związek z profilami, jakie widywałem na pudełkach od nici. .

— I już — zadecydowałem głośno, nadając głosowi ton obojętny i aprobujący.

Nie odpowiedział.

— I już, powiesiliście Krzeptowskiego — prowokowałem. — Bardzo dobrze!

— Ja tam nie wieszałem. Partyzanci powiesili.

Nie rozumiałem, dlaczego ten krzepki patriota tak wzbrania się przyznać do swej solidarności z partyzantami. Oczekiwałem od niego słów mocnych i gorących, a w mej letniej, wykoncypowanej przeze mnie samego duszy, co chwila coś podskakiwało, wywijało ciupagą i krzyczało: „Hurra".

Szliśmy obok siebie, ja — krokiem drobnym i szybkim, on — długim, chyboczącym, na zgiętych kolanach.

— Przecież, gazdo, on chciał was od nas oderwać! — to było wówczas jedno, co powiedzieć mogłem. („Od nas" — to znaczy od tych Polaków i niezawodnych patriotów, których z natury rzeczy już od niczego oderwać nie można, patriotów „z natury rzeczy", z krwi i kości Władysława Łokietka).

— Chciał — góral pogardliwie wzruszył ramionami.

— A to dla was krzywda, co?

— Pewno, że krzywda, panie.

— A to dobrze, że Krzeptowskiego powiesili, co?

— Dobrze nie dobrze, ale tak już powinno być.

Powinno! Zdaje mi się, że go zrozumiałem. Ujrzałem nagle głupie fotografie mieszczuchów o twarzach uśmiechniętych chwacko, ludzi bez żadnych problemów, mieszczuchów w rekwizytowych guńkach z kokardą i zawadiackich kapeluszach z muszelkami. Ci ludzie biliby się o górali nawet do pierwszej kropli krwi dla ich egzotyki i dziwności, dla haftowanych portek i fajki. Krzywe i wykoślawione pojęcie ojczyzny, wykrzykiwane przez tych ludzi w najbardziej niepotrzebnej chwili, wędrowało w serdaku, kapeluszu i przy ciupadze przed trybuną Rydza Śmigłego — barwne, dostojne i zdradzieckie. Tak wędrowała ojczyzna w osobie Wacława Krzeptowskiego, Ale to nie było to. Teraz zrozumiałem. Ze słowa Ojczyzna górale nie robili, nie chcieli robić stempla, którym się pieczętuje fałszowane papiery. Powiedziałem:

— Tak już powinno być. Tu zawsze była Polska, zwyczajna Polska, prawda?

Odpowiedział dokładnie tak: „He, jakozby inacej miało być".

Powiedział to z przekonaniem, a ja mu uwierzyłem.

Szliśmy dalej milcząc, minęliśmy Skibówki i przy ulicy Kościeliskiej góral pożegnał mnie i skręcił w prawo, ginąc między zabudowaniami. Wędrowałem dalej, spuszczając się Kościeliską ku Zakopanemu. Mijałem po drodze radzieckie taczanki, ciągnące powoli na zachód, ku Chochołowskiej — i dalej. Na słupach, w pogiętych, niewygodnych pozycjach pracowali radzieccy żołnierze — wiązali zerwane druty .

Stanisław Sak

Józef BIENIEK

»Jak to na Koszarce ładnie...«

TRAWESTACJA tytułu starej i niemniej bzdurnej piosenki jest o tyle słuszna, że narodowi polskiemu nie trzeba już więcej „wojenek", ale pokoju i twórczej pracy. Choćby takiej właśnie, jaka toczy się codzień w budynku Koszarka — siedzibie G. S. w Kobylę Gródku. Wprawdzie na Koszarce nie jest jeszcze tak bardzo i tak całkiem ładnie, wszystkie jednak wysiłki aktywu tej placówki zmierzają konsekwentnie i uparcie do tego, aby tytuł powyższy miał już wnet pełne pokrycie.

Jak się to robi? Ano zobaczmy kilka drobnych fragmentów, składających się na tą szarą i nie łatwą epopeę walki o lepsze jutro wsi.

*

Pokój zarządu — mózg Koszarki— pełen jest słońca i prostego wdzięku. Po lśniącej podłodze biegną kolorowe paski chodników, w oknach bieleją firanki. W tej chwili w pokoju odbywa się narada robocza zarządu G. S. z kierownikami poszczególnych działów. Referuje prezes Starczewski.

— Tematem dzisiejszej narady — mówi — będzie gruntowna analiza kosztów oraz ułożenie planu zdecydowanej i konsekwentnej walki o ich obniżenie na każdym odcinku naszej działalności. Będzie to po prostu sprawa honoru każdego z nas i główny program pracy na rok bieżący...

Nad arkuszem zestawienia kosztów pochyla się kilka głów jedną przejętych myślą i jedną troską.

Analiza wykazuje między innymi drobne uchybienia na odcinku kontroli wydatków.

— Pięć razy obejrzę — zawzina się drugi członek zarządu, Strączek — każdy rachunek, badając jego celowość, nim go podpiszę..

Rozeszli się już po ciemku z konkretnymi planami działania i twardym postanowieniem oszczędzania, gdzie i ile się da.

*

I ZNÓW pokój. Ten sam. I słońce też, tylko twarze inne. To pracownicy G. S.—rożnowscy chłopi. Zebrali się, aby omówić sprawę założenia spółdzielni produkcyjnej, aby naradzić się przed startem na nowe drogi, ku nowemu wiodące życiu.

Referują prezes Starczewski i Instruktor Kontroli Młodkowski. Referują ten sam temat w tym samym gronie nie po raz pierwszy. Dziś ze skutkiem. Pięciu pracowników G. S. z Instruktorem Młodkowskim na czele wyraża zgodę, stając się grupą założycielską spółdzielni produkcyjnej w Rożnowie oraz jej zarządem i aktywem.

*

Obok szosy na kupie kamieni siedzi chłop. Kraje biały, ciepły jeszcze chleb i zajada chciwie.

— Dobry chlebuś — mówi — piecze nasza piekarnia. Grubo lepszy niż w mieście.

Drogą raz po razu przechodzi ktoś niosąc chleb. Nawet po kilka.

— Przed wojną — mówi fertyczna babinka — musiałam na chleb sprzedać 10 i więcej jajek, dziś mam go za cztery. To też odkąd piekarnia ruszyła — nie piekę w domu chleba. Nie opłaca się, lepiej kupić.

Budynek piekarni czerwienieje opodal świeżości murów i dachu. Jest duży i okazały. Wykończony w roku ubiegłym dał możliwość uruchomienia jednej z najbardziej potrzebnych spółdzielni placówek. Bo okolica biedna, a dla biedaka chleb to wszystko. Stała się więc piekarnia dla mas biedniackich najbardziej widomym i przekonywającym argumentem Planu 6-letniego, a dla spółdzielni samej źródłem poważnych dochodów.

Dobra praca piekarni jest zasługą jej kierownika ob. Malisza, dla którego nie istnieje nic ważniejszego nad dobre imię powierzonego mu zakładu. Jest przecież jedno ale. Mianowicie do dziś w „całkowicie zmechanizowanym" zakładzie ciasto ugniata się jak sto lat temu — rękami. A za raz obok stoją mechaniczne mieszałki, kotły i motory. Stoją martwe, bo prądu nie ma.

A tak nie wiele potrzeba, żeby był — skoro linia znajduje s ięłuż pod ścianą piekarni. Brakuje tylko — dobrej woli zakładu, który roboty instalacyjne rozbabrał i nie skończył. Od trzech miesięcy.

*

W SZEREGU cięć dokonanych na odcinku walki z kosztami do poważniejszych należała zwycięska kampania z przedsiębiorstwami transportowymi o właściwe stawki za przewóz towaru oraz rozpędzenie żerującej w spółdzielni kliki, która wykorzystując brak rąk do pracy dyktowała coraz zuchwalsze ceny.

— Po dziesiątce od tony — powiedzieli wreszcie, gdy przyszła partia wiosennych nawozów — inaczej nie pójdziemy...

— Nie dam — wściekł się prezes— za cholerę nie dam! Sam pójdę do wyładunku, a takiej ceny nie dam.

I nie dał. Była właśnie noc, pozbierał więc co młodszych pracowników stacjonujących w Koszarce i poszedł dźwigać worki. Wrócił nad ranem mokry od potu po wyładowaniu 35 ton, ale wojnę wygrał.

Zorganizowana własna ekipa ładunkowa pracuje szybko i sprawnie, a co najważniejsze grubo taniej. Gdy zaś zajdzie potrzeba, w momencie większego napływu masy towarowej — idą do wyładunku pracownicy biur, z zarządem na czele. Aby szybciej, aby taniej.

*

Najradośniejszym zjawiskiem, jakie od pewnego czasu występować zaczyna w życiu Koszarki, jest fakt coraz silniejszego zrastania się poszczególnych członków załogi z powierzonymi im działami pracy. Nie tylko ze swoimi. Wielu wychodzi już poza granice przydzielonych obowiązków, interesując się żywo i mocno całością życia spółdzielni.

Ten fakt daje gwarancję, że z chwilą gdy zespół pracowniczy zacznie pojmować mienie społeczne jako własne i troszczyć się będzie o każdy szczegół tego mienia równie jak o własne — rozwój tej placówki będzie tylko kwestią czasu.

— Niech cię diabli porwą — krzyczy kierownik działu rolnego do referenta skupu żywca, Kwiecińskiego— musiałeś tu coś sknocić, bo nie grał Kwiecińskiego diabły też nie na urlopie, więc replikuje żywo i na moment wre w biurze burza z piorunami, oczywiście słownymi. Za chwilę jednak racje zostają ustalone i dwaj zdawałoby się śmiertelni wrogowie uśmiechają się do siebie, jakby nigdy nic.

Trąbiński z Kwiecińskim, Strączek z Małkiem itd. to w życiu prywatnym najlepsi koledzy. Wystarczy jednak, aby jeden drugiemu nawalił coś w robocie — koleżeństwo znika i zaczyna się „sądny dzień", a na winnym nie pozostaje ni suchej nitki.

Ale właśnie w ogniu takich utarczek, konfliktów i spięć wytapia się i hartuje nowy stosunek do pracy i nowy jej styl.

*

Krótkie spięcia powstają również między poszczególnymi działami. Najczęściej na tle walki z kosztami. Przoduje na tym polu skup, użerając się z zaopatrzeniem o każdą złotówkę.

— Ech — macha pogardliwie ręką starszy księgowy Pierzchała — nie darlibyście się o głupie parę złotych...

— Każda złotówka — odparowuje księgowa skupu Salamonówna — wtedy jest głupia, gdy zostaje niepotrzebnie wydana...

Do biura wpada jak huragan kierownik skupu.

— Złapałem okazyjne samochody — woła z radością — zabiorą nam jajka. 60 skrzyń pojedzie za parę dziesiątek... Da nam to ponad 800 złotych oszczędności.

— Kiedyś — mówi z uśmiechem obserwujący scenę prezes — walczyłem z kosztami sam. Toteż nic dziwnego, że skutki samotnego wysiłku były znikome. Dziś, gdy troska o te sprawy stała się udziałem szerszego zespołu i przybrała takie rozmiary— problem ten przestanie być słabą stroną naszej placówki.

Skutki zresztą już są widoczne. Spadek kosztów własnych z 13% w roku ubiegłym na 9% w pierwszym kwartale b. r. — to już dużo. To — na warunki w jakich ta spółdzielnia pracuje — bardzo dużo.

*

NOC. Z okien Koszarki smugi świateł żłobią w ścianie mroku długie tunele blasku. Nad biurkami pochylają się zadumane twarze. Na stole lśniąca plama bristolu wypełnia się treścią. To nowy numer gazetki ściennej. Przy drugim stole starszy księgowy mrucząc coś z cicha maluje potężny zygzak „Błyskawicy". Jej blask naświetlać ma i rozpraszać ciemne strony życia spółdzielni, walcząc z nimi aż do skutku.

W najdalszym kącie zakładowy poeta stękając z wysiłku rodzi wytyczne dla „Błyskawicy". Rymowane — bo działa bardziej bezpośrednio i przekonywająco. A zaraz obok młodziutka kadrowa Bogusia grzebie w potężnej szafie porządkując zakładową bibliotekę.

*

Program codziennego bytowania na Koszarce nie jest zbyt urozmaicony. Żyje się tu przede wszystkim pracą. A to nie wystarcza. Toteż gdy instruktor K. O. zaproponował wyjazd do Nowego Sącza na występ „Artosu" — propozycja przyjęta została z najwyższą radością. 30 pracowników Koszarki przeżyło 2 godziny w uroczej atmosferze piosenki, tańca i humoru, biorąc udział w „Turnieju Radości".

— Więcej takich wyjazdów — słyszało się później co krok. — Po takim zastrzyku radości i piękna — życie wydaje się jeszcze piękniejsze, a praca sama idzie lżej, sprawniej i wydajniej.

Przy okazji mała uwaga. Niektóre zakłady pracy niewłaściwie pojmują istotę zagadnienia — przechodzą granice racjonalnego oszczędzania i żałują pieniędzy na cele kulturalne. Należy jednak uważać, aby oszczędzanie na tym odcinku nie stało się krzywdą i pracownika, i pracodawcy. Sumy bowiem rozsądnie na te cele wydatkowane zwracają się niemal zawsze z wysokim procentem, w postaci serdecznego powiązania człowieka z zakładem, w postaci wzmożonego zapału do pracy i wzrostu twórczego entuzjazmu, co jest prostą konsekwencją każdego wartościowego spektaklu. Zwłaszcza, gdy chodzi o zakłady pracujące w dużych odległościach od miast i żywszych ośrodków sceniczno-estradowych oraz nie posiadające własnego życia kulturalnego.

J. Bieniek

Profil uczonego

(Dokończenie ze str. 5)

pietyzmem, na jaki one zasługują. A nie mieli redaktorzy (Tadeusz Mikulski, Samuel Sandler i Jerzy Ziomek) zadania łatwego. Poważną trudnością jest dokonać wyboru z materiału tak nęcącego każdym szczegółem.

Zasadą kompozycyjną zbioru było — jak informuje T. M. we wstępnej nocie od redakcji — ukazanie przekroju chronologicznego twórczości naukowej Wacława Borowego. Zasada ta została zrealizowana konsekwentnie. Ściągnięto do studium „Łazienki a Noc Listopadowa" z roku 1918, pozostawiając pracę o Ignacym Chodźce (z r. 1914) tylko w spisie bibliograficznym. Ogłoszono niepublikowaną jeszcze rozprawę o polskim trzynastozgłoskowcu, wydobytą z papierów pośmiertnych. Dobór szkiców wybranych z naukowego czterdziestolecia Profesora daje obraz jego wielostronnych zainteresowań i możliwości. Oczywiście, bardziej zżyty z pismami Wacława Borowego czytelnik żałuje, że nie spotka się w dwóch wrocławskich tomach z innymi jeszcze rozprawami. Chciałoby mu się znaleźć tam chociaż fragmenty z książki o Chestertonie (np. o humorze angielskiego twórcy), chętnie powróciłby do (końcowych zwłaszcza) partii rozprawy „O wpływach i zależnościach w literaturze". Wydaje mi się, że nie tylko Bohomolec (z ksiażki „O poezji polskiej w wieku XVIII") miał prawo wstępu do wyboru, ale i Krasicki i (ze względu na nowsze oświetlenie postaci) Benisławska, a także ks. Baka. Przykro, że nie ma tu także choćby jednego fragmentu wykładów o Mickiewiczu (np. świetnej, odkrywczej analizy „Ody do młodości")...

No, oczywiście, gdyby każdemu chciano dogodzić, gdyby wszystko po trochu chciano pokazać i czterech tomów byłoby za mało. Cieszmy się dwoma, czekając na inne.

O jedno tylko należy poprosić wydawców na przyszłość. Wydawnictwo tego typu jak wrocławskie powinno — zwłaszcza jeśli chodzi o wydanie pośmiertne pism Wacława Borowego — uniknąć wszelkich niedokładności, niejasności czy błędów w bibliografii. Opracował ją tutaj Ludwik Brożek.

Włożył w swoją pracę wiele trudu, zgromadził wiele materiału, praca jego mogłaby mieć duże znaczenie, gdyby nie jej poważne usterki. Nie mówmy, że to drobiazgi. Tu i w drobiazgach obowiązuje maksymalna ścisłość. Tymczasem Ludwik Brożek (na str. 369, poz. 289) przypisuje Wacławowi Borowemu artykuł o Helenie Jamontównie („Warzyckiej") publikowany w „Dziś i Jutro" (r. 1946, nr 43). Przyczyną przykrej pomyłki pośpiesznego bibliografa jest to, że Wacław Borowy podpisywał czasami swoje notatki inicjałami „W. B.", a właśnie tymi samymi inicjałami posłużył się autor artykułu w „Dziś i Jutro".

Wacław Borowy nie był w żaden sposób związany z redakcją „Dziś i Jutro". Muszę powiedzieć więcej: nie chciałby, aby go wiązano z ruchem, wobec którego miał zastrzeżenia. Mam prawo sądzić, że jestem dostatecznie poinformowany, by stwierdzić, że pozycja bibliograficzna nr 289 na str. 369 jest niewątpliwą pomyłką. Tak samo pozycja nr 302 i 304 na str. 370. Artykułu w nr 48 z r 1946 w „Dziś i Jutro", jak też przeglądów prasy w numerach 14, 24, 25, 26 nie pisał Wacław Borowy, lecz zupełnie kto inny, podpisujący się także inicjałami W. B Przypuszczam, że takim samym błędem jest pozycja 303 na str 370. Te szczegóły wymagały sprostowań. Czy więcej sprostowań nie okaże się konieczne? Tak niepokojących pytań nie powinna dopuszczać naukowo sporządzona i rzetelnie sprawdzona bibliografia.

Wydaje mi się także, że brak jej przejrzystości, której wzorem mogła być „Bibliografia pism Wacława Borowego" (w zarysie) sporządzona przez Marię Bokszczanin i Marię Straszewską, a opublikowana w „Pamiętniku Literackim" (rocznik XL).

Ale to nie ummiejsza w sposób zasadniczy wartości samej edycji. Chodzi przecież przede wszystkim o jej walor wewnętrzny, o to, co daje czytelnikowi polskiemu. Co daje, starałem się ukazać w powyższym szkicu.

PRZEGLĄDAM jeszcze raz zgromadzone w nim uwagi, kartkuję jeszcze raz „Studia i rozprawy" i wyraziściej niż na początku zdaję sobie sprawę z niepełności, z braku precyzji, z błędów omówności. Niepokoją mnie własne wywody o walorze klimatu, o miłości uczonego dla literatury, o artyzmie i dowcipie studiów wybitnego badacza...

Odczuwam konieczność powtórzenia jeszcze raz zastrzeżeń wstępnych. To nie była krytyczna rozprawka. To nie była recenzja z dwóch tomów prac polonistycznych. Moim zadaniem było jedynie w oczach czytelników uplastycznić postać Profesora, mocniej zarysować jego sylwetę, ukazać w nim jedność dzieła i życia, humanistyczne bogactwo dzieła i życia, jego odrębność, niepowtarzalność, jedyność.

Patrzę jeszcze raz na profil uczonego, występujący wyraziście na ciemno-jasnym tle fotografii. Taki człowiek powinien przejść do historii żywy. Kochał literaturę przez ukochanie ludzkiego piękna. Znał ją, jak mało kto u nas. Uczył innych kochać ją i rozumieć. Dało mu to siłę naukowca-artysty, przewodnika wśród bogactw naszej literackiej tradycji narodowej.

Jego żywe ciągle dzieło jest trwałym wkładem w rozwój polskiej nauki o literaturze.

Pozostanie.

Jakaż jest inna miara ludzkich osiągnięć?

Zygmunt Lichniak

*) Wacław Borowy: Studia i rozprawy, t. I, str 310, t. II, str. 382, Wrocław 1952, wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, przygotowali do druku: Tadeusz Mikulski, Samuel Sandler, Jerzy Ziomek, bibliografię opracował Ludwik Brożek.

NOWOŚĆ NOWOŚĆ

Maciej Józef Kononowicz
W RAMIONACH SREBRNYCH RZEK
Zbiorek poezji o Ziemiach Zachodnich
Cena zł 15.—

Zbyszko Bednorz
DZIECI I BAGAŻE
Powieść o Śląsku Opolskim
Cena zł 15.—

Wysyła Biuro Sprzedaży „PAX". Mokotowska 43, Warszawa, za zaliczeniem pocztowym lub po wpłacie na konto PKO I-8515. Przy wpłatach na PKO prosimy doliczać zł 3.— na koszt przesyłki.

Kilka słów o:

Plastyce

RYSUNKI PAULA HOGARTHA W ŁODZI

W Łodzi otwarto wystawę prac postępowego grafika angielskiego, Paula Hogartha. Paul Hogarth, o którym już pisaliśmy w naszym piśmie, w ubiegłym roku podróżował po Grecji i przywiózł szereg ciekawych rysunków, odtwarzających nędzę ludu greckiego. Cykl litografii, zatytułowanych „Grecja 1952", wystawiony jest obecnie na wystawie łódzkiej. Oprócz niego znajduje się tam 66 rysunków ołówkiem, węglem, kredką i tuszem tego wybitnego artysty.

CIEKAWE WYDAWNICTWA PLASTYCZNE

Nakładem Biura Wydawnictw Artystycznych i Ludowych Centrali Przemysłu Artystycznego ukazały się dwie teki „Współczesnego malarstwa polskiego". Pierwsza teka zawiera 10 barwnych reprodukcji obrazów z I Ogólnopolskiej Wystawy Plastyki. Druga teka obejmuje 10 barwnych reprodukcji obrazów z wystawy „Plastycy w walce o pokój".

Nakładem Wyd. CPLiA ukazał się też album dzieł Aleksandra Orłowskiego zawierający 12 wielobarwnych reprodukcji. Ponadto wznowiono wyczerpane już wydanie dwóch albumów malarstwa polskiego zawierających barwne reprodukcje dzieł Michałowskiego, Grottgera, Gersona, Gierymskiego, Chełmońskiego, Podkowińskiego, Masłowskiego, Stanisławskiego i in.

WYSTAWA RELIGIJNA W PARYSKIEJ GALERII

Tematyka religijna wciąż żywo interesuje malarzy, czego najlepszym wyrazem jest otwarta niedawno w Galerie Point du Jour w Paryżu wystawa rysunków Roberta Pilods, francuskiego prowincjonalnego malarza, który urodził się w 1908 r. w Herimoncourt i który przebywał tam do 1952 r.

Na wystawie pokazano 50 rysunków przedstawiających sceny z życia Chrystusa w bardzo prostym ujęciu, chwilami nawet może zbyt surowym.

Prasa z uznaniem wita tę wystawę, podkreślając jednak, że rysunki zdradzają pewnego rodzaju schematyzm i brak życia.

literaturze

85 ROCZNICA URODZIN M. GORKIEGO

28 marca upłynęło 85 lat od dnia urodzin wielkiego pisarza radzieckiego, Maksyma Gorkiego. W Związku Radzieckim w tym czasie zorganizowano „Dni Gorkiego" trwające 4 dni; odbyło się szereg uroczystości poświęconych pamięci pisarza. Cała prasa radziecka zamieściła obszerne artykuły omawiające życie i twórczość Gorkiego. Tygodnik „Literaturnaja gazieta" podaje sprawozdanie z wieczoru urządzonego w „Litieraturnom muzeje", w którym wzięli udział czołowi przedstawiciele literatury i sztuki.

M. in. Wsiewołod Iwanow, N. Tichonow, K. Czukowski i K. Fiedin podzielili się swoimi wspomnieniami z osobistych zetknięć z Gorkim.

„Aleksander Maksymowicz Gorki wiódł nas, pisarzy starszego pokolenia — powiedział K. Fiedin — do sztuki socjalistycznego realizmu, odkrywając przed nami jego zadania, ukazując w swych dziełach, jak należy walczyć o nową sztukę".

filmie

NOWE FILMY RADZIECKIE

Na ekrany radzieckie wszedł nowy dokumentalny film pt. „Paweł Sudnikow". Film ilustruje osiągnięcia dyspozytora mińskiej magistrali — Pawła Sudnikowa — w zakresie przyśpieszania ruchu pociągów i racjonalnego wykorzystania lokomotyw. Film spotkał się z wielkim zainteresowaniem kolejarzy radzieckich.

Drugi nowy film radziecki — to film fabularny oparty na znanej powieści Haliny Nikołajewej „Żniwa"; nosi tytuł „Powrót Wasyla Bortnikowa", reżyserował W. Podowkin. Film, którego scenariusz opracował wspólnie Pudowkin z autorką powieści przenosi akcję o kilka lat później, przedstawiając życie współczesnej wsi kołchozowej.

FESTIWAL FILMÓW CZECHOSŁOWACKICH

Od 11 do 24 kwietnia trwać będzie w całym kraju Festiwal Filmów Czechosłowackich. Tradycyjna już impreza kulturalna jest corocznym, ciekawym przeglądem nowych osiągnięć kinematografii brat-

niego narodu. W tym roku po raz pierwszy w Festiwalu brać będą udział i kina wiejskie, dla których przygotowano specjalne wąskotaśmowe kopie nowych filmów. Ogółem filmy festiwalowe będą wyświetlane w 85 kinach.

Oprócz 60 pozycji powtórzonych ujrzymy następujące nowe filmy czechosłowackie:

1) „Jutro się będzie tańczyć wszędzie" — barwny film opowiadający o dziejach ambitnego, młodego zespołu amatorskiego.

2) „Cesarski piekarz" — również film barwny — kostiumowa komedia w dwóch częściach.

3) „Wielka przygoda" — film poświęcony życiu i pracy znanego badacza Afryki, Emila Holubka.

4) „Uśmiechnięty kraj" — film o nowym życiu wsi czechosłowackiej.

PIERWSZY OGÓLNOPOLSKI „MIESIĄC KINA"

W kwietniu zorganizowany będzie pod hasłem „Widz gospodarzem kina" pierwszy w Polsce ogólnokrajowy miesiąc kina. Pożyteczna ta impreza pomoże niewątpliwie w przezwyciężeniu wielu dotychczasowych niedociągnięć w rozpowszechnianiu filmów, pomoże usprawnić pracę kin.

Zorganizowane zostaną spotkania pracowników kin z publicznością na specjalnie zorganizowanych seansach, wprowadzone będą filmowe programy życzeń, obejmujące filmy wybrane przez pewną ilość widzów, opracowuje się najdogodniejsze formy sprzedaży biletów. W czasie trwania „Miesiąca kina" pracownicy kin w całej Polsce usprawnią swą pracę, tak aby czas spędzony w kinie był naprawdę miłą i pożądaną rozrywką.

WOLFGANG STAUDTE NA STAŁE W „DEFIE"

Wszyscy dobrze pamiętamy świetną satyrę na pruski imperializm, film „Defy", „Poddany", zrealizowany według powieści Manna przez świetnego reżysera niemieckiego Wolfganga Staudte.

Twórca tego filmu, który pracował przedtem w jednej z zachodnich wytwórni filmowych, przeniósł się na stałe do „Defy", Państwowej Wytwórni Filmowej Niemiec Demokratycznych, gdyż świetna satyra filmowa prusactwa bardzo zepsuła mu opinię w państwie Adenauera. Świetny reżyser kończy obecnie film oparty na bajce niemieckiego pisarza Wilhelma Hauffa pt. „Przygody małego Mucka".

Muzyce

WYSTĘP BUŁGARSKIEGO DYRYGENTA

W ostatnim koncercie symfonicznym Filharmonii Warszawskiej wziął udział wybitny dyrygent bułgarski Konstantyn Iljew.

Na bogaty program koncertu złożyły się: „Suita bułgarska" Władigerewa, „Wariacje symfoniczne" Cezara Francka i „IV symfonia" Antoniego Dworzaka.

Konstanty Iljew jest nie tylko wybitnym dyrygentem, ale równocześnie kompozytorem. M. in. jest autorem dwóch sonat na skrzypce i fortepian, dwóch sonat na orkiestrę dętą i smyczkową, koncertu na flet, symfonii, kwartetu smyczkowego i ostatnio napisanego „Divertimento" na orkiestrę.

Za opracowanie muzyczne oper „Don Pasquale" i „Sprzedana narzeczona" Iljew otrzymał Państwową Nagrodę im. Dymitrowa.

Publiczność warszawska przyjęła bułgarskiego dyrygenta niezwykle serdecznie.

WIECZÓR WSPÓŁCZESNEJ MUZYKI POLSKIEJ

Staraniem Zw. Kompozytorów Polskich w Krakowie odbył się niedawno bardzo interesujący wieczór pieśni i utworów kameralnych współczesnych twórców polskiej muzyki. Na bogaty program złożyły się m. in. dzieła A. Dobrowolskiego, M. Dziewulskiej, I. Garzteckiej, S. Kisielewskiego, S. Lachowskiej, A. Malawskiego, S. Wiechowicza i F. Wróbla.

Muzykalna publiczność Krakowa szczelnie wypełniła aulę P. W. S. M., gorąco oklaskując wybitnych wykonawców: E. Umińską, J. Wysocką - Ochlewską, Z. Stachurską, M. Załęską, J. Hoffmana, J. Mikulskiego, W. Kozieradzkiego, A. Müllera, I. Garztecką i J. Dolnego.

Kiedy wreszcie Warszawa doczeka się tego rodzaju stałych koncertów? O ile z miejscem na koncert symfoniczny są w stolicy jeszcze trudności, o tyle sal mniejszych, w sam raz nadających się na muzykę kameralną, nie brak chyba? A publiczność czeka!

NOWE BALETY W MOSKWIE

Wiele teatrów moskiewskich przygotowuje nowe pozycje repertuarowe. W Teatrze Wielkim odbywają się próby baletu znanego radzieckiego kompozytora Reinholda Gliera „Taras Bulba".

W przygotowaniu jest balet Sergiusza Prokofiewa „Kwiat kamienny" oparty na motywach baśni uralskich Pawła Bażowa. Młodzi artyści Teatru Wielkiego pracują nad baletem Aleksandra Głazunowa „Pory Roku". Teatr Muzyczny Stanisławskiego i Niemirowicza - Danczenki pracuje nad nową inscenizacją baletu Piotra Czajkowskiego „Jezioro łabędzie". Teatr ten włączył do swego repertuaru również balety — B. Aleksandrowa „Mańkut", osnuty na motywach opowiadania pisarza rosyjskiego M. Leskowa oraz balet Reinholda Gliera „Laurencja".

Z CYKLU „SYLWETKI KOMPOZYTORÓW".

Organizowane stale przez „Artos" koncerty cykliczne pt. „Sylwetki Kompozytorów", cieszą się niezmiennym powodzeniem, tak w mniejszych jak i w większych ośrodkach kulturalnych. Doskonałym tego przykładem był ostatni koncert tego typu, jaki odbył się 22 marca w Krakowie, z udziałem A. Bolechowskiej, H. Ottoczko, H. Paluli'sa i St. Ursteina.

Bardzo dobrze opracowane słowo wstępne i wiążące oraz wysoki poziom wykonawców ściągnęły nawet w tak nasyconym muzyką mieście, jak gród podwawelski, tłumy publiczności.

PIANISTA SZWAJCARSKI W POLSCE

25 marca Kraków gościł doskonałego pianistę szwajcarskiego George Bernand. W recitalu swoim artysta pokazał wysoką klasę gry fortepianowej. Szczególnie interesująco wypadły w jego wykonaniu utwory Schumanna, Fauré, Debussy'ego i de Falla. Mniej przekonywająca była interpretacja Bacha i Mozarta.

Publiczność przyjęła szwajcarskiego gościa bardzo gorąco, zmuszając do licznych bisów.

Wszystkim

SŁOWNIK TEOLOGII KATOLICKIEJ

W roku 1952 ukazał się w Paryżu ostatni tom „Słownika teologii katolickiej". Poszczególne części tego słownika wydawane były w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu, pierwszy tom bowiem został opublikowany przez M. Vacant w 1899 r. Dzieło to, którego opracowanie trwało przeszło pół wieku, odzwierciedla różne kierunki i tendencje myśli teologicznej tego okresu. Na specjalną uwagę zasługuje wzrastające znaczenie teologii pozytywnej, co ujawniło się zwłaszcza w wielkich artykułach doktrynalnych.

Według oceny krytyków wartość wszystkich tomów tego słownika nie jest jednakowa, niektóre zagadnienia powinny być na nowo opracowane, tym niemniej znaczenie naukowe tego dzieła jest ogromne. Zwłaszcza specjalnie wartościowa jest część ostatnia omawiająca okres Reformacji oraz poglądy Wyclifa i Zwinglego.

teatrze

PREMIERY TEATRALNE WE WROCŁAWIU I POZNANIU

Państwowe teatry dramatyczne we Wrocławiu powiększyły swój dorobek artystyczny o dwie nowe premiery. Ostatnio na scenę Teatru im. Gabrieli Zapolskiej weszła sztuka Żeromskiego „Grzech", a Teatr Kameralny wystawił sztukę Korniejczuka „Chirurg".

„Grzech" Żeromskiego wystawiono we Wrocławiu w reżyserii W. Horzycy. Udaną kreację artystyczną stworzyła Renata Fiałkowska, występująca w roli Anny. Dużym powodzeniem cieszy się sztuka „Chirurg", w której rzęsiste oklaski zdobywa odtwórca roli tytułowej Władysław Dewojno.

Szereg nowych premier przygotowują także teatry poznańskie. Teatr Nowy wystawi sztukę Rittnera „W małym domku" w reżyserii Straszewskiej. Teatr Komedii Muzycznej przygotowuje sztukę pt. „Dulska na rozdrożu" Sterna, zaś Teatr Objazdowy „Osobliwe zdarzenie" Goldoniego w reżyserii Ziembińskiego.

Mistrz Odrodzenia

Portret nieznajomego

ŁAGODNE światło wiosennej pogody. W głębi krajobraz toskański, harmonijny i mądry (humanistyczny). Na tle czystego nieba postać młodzieńca. Długie włosy opadają aż na ramiona. Oczy patrzą ciekawie, choć przysłonięte mgłą smutku, twarz pełna spokoju, twarz, której jeszcze nie tknęło wspomnienie grozy życia. Wytworny ubiór przybrany futrem wskazuje, że młodzieniec należy do szlachetnego rodu. Znamy chyba tę postać. Widzieliśmy ją na ścianie jednej ze stanz watykańskich. To właśnie on odziany w białą szatę stoi tam, obok Pitagorasa wykładającego muzykę w gronie mędrców ze szkoły ateńskiej. Ale tu na portrecie spogląda samotnie, otoczony tylko niebem, morzem i krajobrazem, zdając się milcząco mówić o rozkwicie epoki, ale i o umiarze, o wiośnie, lecz owocującej już arcydziełami.

Wspaniałe to płótno jeszcze przed kilkunastu laty mieniło się całym bogactwem swej urody w galerii XX Czartoryskich w Krakowie. Tym cenniejsze, że jedyne z dzieł Rafaela w Polsce. Dopiero najazd hitlerowców stał się także i końcem pobytu „Portretu nieznajomego" w Krakowie. Wywieziony w niewiadome strony dotąd nie wrócił na dawne miejsce.

Rafael Santi, który stworzył ten portret, był niezwykłym zjawiskiem. W tym roku mija 470 lat, gdy wielki mistrz Odrodzenia urodził się w Urbino. (Zmarł 6 kwietnia 1520 r). W ciągu niedługiego życia dokonał zdumiewająco wiele, stworzył wielką i płodną szkołę malarską, wyznaczył granicę między stylami ginącymi a powstającymi wtedy i w pełni wyraził swą twórczością ideał epoki, kontynuując równocześnie osiągnięcia wielkich poprzedników, dał światu wzory i kanony piękna, później naśladowane i powtarzane wielokrotnie. Był geniuszem, który — jak pisze o nim Vassari — zwyciężał swą piękną naturą. To, co stanowiło o odrębności Rafaela i co decyduje dziś o jego wielkiej pozycji w dziejach sztuki, to harmonia, trafne i zachwycające połączenie elementów ziemskich i nadzmysłowych, bo choć poświęca swą twórczość wyrażaniu urody świata, w którym żyje, umie poprzez ten urok ukazać potęgę piękna nieskończonego. Jest piewcą cudowności Boga. Z portretów ślicznych kobiet, które tak chętnie malował, patrzą nieziemskie i przejmujące oczy Madonny.

Szkołę, z której Rafael wyszedł i której pozostał wierny, stworzyła sztuka natchnionych mnichów-artystów. Fra Angelico, Cosimo, Roselli, Fra Bartolomeo. Ten ostatni był bezpośrednim mistrzem Rafaela.

Mistrz z Urbino, będąc prawdziwym przedstawicielem swojej epoki, zafascynowanej człowiekiem i otaczającym go światem, językiem swego czasu, kontynuował jednak tę samą co tamci linię mistycznego przeżywania piękności Bożej, zawartej w świecie, który jest przecież dziełem Stworzyciela. Wszystko, co wiekі poprzednie miały w sobie najwznioślejszego, od pokory św. Franciszka, poprzez seraficzną poezję Dantego, aż po sztukę Quatrocenta, to wszystko przejął i wypowiedział w swych obrazach Rafael. Melodia ściszonych, nigdy nie zamąconych kolorów, płynność linii i prostota kompozycji, słodycz promieniująca z postaci przedmiotów i krajobrazów sprawiają, że obrazy Rafaela zanurzone są w jedynej, tylko jemu swoistej atmosferze włoskiego wdzięku.

Ale przez tę urodę i łagodny spokój płynie strumień tragizmu: tęsknoty za przekroczeniem granic ziemskości, za mistycznym wzlotem ku niebu. Szczególnie wyraźnie przejawia tę ideę końcowy okres jego twórczości, ostatnie pięć lat, kiedy nastrój religijny doszedł u Rafaela do niezwykłego natężenia, i kiedy nosił się z myślą przywdziania sukni duchownej. Wtedy powstają jego wielkie wizyjne kompozycje, wśród których „Święta Cecylia" i „Przemienienie Pańskie" są najsłynniejsze.

Rafael, twórca najpiękniejszych Madonn, głoszący chwałę Boga poprzez harmonię barw i doskonałość form zostanie jednym z największych artystów wzruszenia religijnego.

(K)

Redaguje zespół
Prenumerata miesięczna 1 80 zł Kwartalnie 5 40 zł
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, I p., tel 880 71, 880 26.
Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
Drukarnia Akcydensowa, Warszawa, Tamka 3. Zam. 759. 4-B-10831.